

**Bezpłatny dodatek do „Siedmiu Groszy”**

Nr. 2 (14)

MONTAGU BARSTOW

# CZERWONY KWIAT ANYŻU

POWIEŚĆ Z CZASÓW TERRORU



TOM II

1937

Śląskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Polonia” S. A. Katowice.



## ROZDZIAŁ I.

### BĄDŹ ZDRÓW.

— Mylady będzie strasznie zmęczona! — litowała się nad Małgorzatą Luiza jej służąca.

— A ty też ledwie żyjesz? — powiedziała wesoło Małgorzata. — Któraż to godzina?

— W pół do piętej! — odrzekła Luiza, rozpinając ciężką haftowaną suknię.

— Daj mi okrycie i idź się położyć. Nie potrzebuję cię.

— Może jeszcze będzie czego potrzeba? — pytała służąca.

— Nie! Idź już spać, Luizol!

Zarzuciwszy miękką, żółtawego kolor ~~szarą~~ suknię, Małgorzata otworzyła okno.

Szary świt przybierał różową barwę, ptaszki budziły się świergocąc, powietrze przepełnione rosą, odświeżało twarz.

Pomimo tylu zgryzot świeżo przeżytych, mimo śmiertelnego niepokoju o Armanda, zdawała sobie sprawę, że serce jej jeszcze bije innym uczuciem. Czyżby go kochała? I jakie to dziwne! Kochała go pomimo oziębłości, jaką jej okazywał, mimo, że każdy serdecniejszy objaw odtrącał... Pamiętała go, tak jej oddanego, spokojnego, a jednak gorąco przywiązanego. A dziś! Nie chce być niewolnikiem, to jest widoczne.

Gdybyż mogła rozbudzić w nim dawne uczucie, wyrównać nieporozumienia, jakże serdecznie potrafiłaby go kochać i szanować i na jego miłość zasługiwać.



Teraz wie, że śmiechem idiotycznym, pozorami błazeństwa, pokrywał głęboką ranę, którą mu zadała, oszukiwał swój zawód serdeczny.

Wydało jej się, że słyszy szmer pode drzwiami.

Podeszła na palcach i cichutko otworzyła drzwi.

Niezmacona cisza panowała w całym domu.

Rozejrzała się.

Nikogo, tylko u nóg jej, na progu leżał list jakiś. Chwilę patrzyła, nie rozumiejąc, w końcu podniosła list; poznała śmiałe, równe pismo swego męża.

Cóż on jej może pisać, widzieli się tak niedawno, mógł przecież doczekać dnia.

Rozdarła kopertę i czytała:

*„Nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie do wyjazdu natychmiast, przepraszam, że nie będę miał zaszczytu pożegnać pani. Zajęcia, jakie mam w North, zatrzymają mnie przez jakiś tydzień i nie będę mógł być obecnym na zabawie, którą pani urządza w środę. Pozostaję pokornym i posłusznym sługą*

*Percy Blackeney”.*

Małgorzata stała nieprzytomna w drzwiach swego pokoju, obracając list na wszystkie strony. Czy rozum jej przyklepił się chwilowo? Jakieś zagadkowe przeczucie, niepokój straszny sparaliżował jej nerwy. Wiedziała, że mąż jej ma w North znaczne dobra, ale żeby musiał tam jechać i decydować się na to pomiędzy szóstą a siódmą rano, tego zrozumieć nie mogła. Przy tym ogarnęła ją chęć nieprzemierzona zobaczenia go przed wyjazdem.

Zbiegła ze schodów, drżąc z obawy, że go już nie zastanie. Drzwi na dole były zamknięte, widocznie służba była jeszcze w śnie pogrążona. Jednakże z dworu dochodził ją tupot nóg końskich. Z wysiłkiem obróciła klucz i odsunęła ciężkie zasuwę. Nie omyliła się, przed domem stała para koni osiodła-



nych. Sułtan, ulubiony wierzchowiec lorda, rżał radośnie gotów do podróży.

Niedługo ukazał się jego pan w wysokich butach i ubraniu z cienkiego sukna, jak zwykle wytwornym. Na widok Małgorzaty zmarszczył czoło.

— Wyjeżdżasz? — zapytała gorączkowo. — Dokąd?

— Miałem zaszczyt uwiadomić panią, że nieprzewidziane okoliczności wzywają mnie do North. — powiedział swym ziewającym leniwym głosem.

— Ale... mamy gości jutro... Czy wyjazdu nie można odłożyć?...

— Pani jest tak świetną gospodynią, że jestem pewny, iż beze mnie obejdzie się. Sprawa moja jest również pilną jak niespodziewaną... Dla tego proszę o pozwolenie wyjazdu... Czy może co załatwić w mieście, gdy będę wracał oczywiście?...

— Nie... nie... dziękuję... Nie mam sprawunków... Czy prędko powrócisz?

— Nie mogę tego naprzód powiedzieć.

— Percy! — zatrzymała go Małgorzata, widząc, że pragnie odjechać. — Może mi powiesz, dla czego dziś odjeżdżasz? Wiem, że nie wzywano cię z North, bo od wczoraj nie było listu ani żadnego posłańca... Ty nie jedziesz do North... To jest jakaś tajemnica... i...

— Nie, nie ma tajemnicy! — odrzekł trochę już zniecierpliwiony. — Jadę w sprawie Armanda... Tak! Teraz mnie pani puścisz?

— W sprawie Armanda?... Czy będziesz narażony na niebezpieczeństwo?

— Narażony? Ja?... Zaszczycasz mnie pani tym pytaniem... Mam po prostu pewne wpływy u dworu, jak to pani sama wie... Trzeba ich użyć, nim będzie za późno!

— Czy pozwolisz podziękować sobie za to?

— To zbyteczne, pani! — powiedział obojętnie. — Żyję na twoje usługi, więc jestem zapłacony.

— A ja, jeżeli zechcesz, żyć będę tylko dla ciebie za to, coś uczynił dla Armanda! — i wyciągnęła ku niemu obie ręce. — Nie będę cię dłużej zatrzymywać... duszą jestem przy tobie... Bądź zdrów!...

Pochylił się, aby ucałować jej rękę. Poczula gorący pocałunek i serce jej napełniło się radością i nadzieją.

— Powrócisz prędko? — zapytała serdecznie.

— Bardzo prędko! — odpowiedział, patrząc jej w oczy.

— I będziesz... pamiętać? — zapytała, odpowiadając mu również szczerym spojrzeniem.

— Będę zawsze pamiętał, pani, żeś uczyniła mi zaszczyt, żądając ode mnie przysługi.

Słowa były zimne, ale nie zmroziły jej już teraz. Odgadła sercem, że tylko pycha każe mu jeszcze przybierać pozory obojętności.

Usunęła się, gdy dosiadał Sultana i za parę minut znikł jej z oczu. Biedny groom zaledwo mógł nadażyć za rozpędzonym wierzchowcem swego pana.

Wracła uspokojona. Zbolałe jej serce prócz nieokreślonej jakiejś tęsknoty, zalewała radosną nadzieją. Już nie bała się o Armanda, ufała zupełnie temu, który dał jej słowo i po to odjechał. Był taki pewny siebie, tak energiczny.

Jak mogła kiedykolwiek uważać go za głupca?! Teraz musi się wszystko odmienić. Ugnie swoją dumę, będzie pokorna, powie mu wszystko i wróci dawne czasy: będzie znów tak jak za owych szczęśliwych dni, kiedy błądzili po lasach w Fontainebleau, małomówni, bo on zawsze był raczej cichy, ale w tym upojeniu, z tą spokojną pewnością, że obok bije serce silne, wierne, w którym szczęście znaleźć może. Coraz mniej bała się Chauvelina i jego zasadzek. Nie znalazł Anyża. Tego była pewną. Mówił przecie lord Faucourt i sam Chauvelin, że

oprócz niego, tylko sir Percy był w jadalni... Szkoda, że jeszcze o to nie zapytała męża... W każdym razie ten bohaterski przywódca spiskowców potrafi pewnie ustrzec się sideł, które nań Chauvelin nastawia. Czuła się szczęśliwą i pełną ufności w przyszłość jak dziecko.

Powróciwszy do siebie, zapuściła firanki i usnęła, ledwie dotknąwszy głową poduszki.

---



## ROZDZIA II. TAJEMNICZY ZNAK.

Późno już było gdy Małgorzata, odświeżona długim snem, otworzyła oczy. Luiza przyniosła jej mleko i owoce na śniadanie, do którego zabrała się z apetytem. Wierna służąca bawiła tymczasem swoją panią najświeższymi wiadomościami. Okazało się, że groom powrócił i przywiódł Sultana. Pan dojechał do London Bridge, tam spotkał się z szyprem Briggsem i poszli razem do yachtu, a jego z koniem odesłał.

Zdziwiło to Małgorzatę, że Percy wszedł na „Sen“, zamiast starać się swymi wpływami u dworu o uwolnienie St. Justa. Może popłynie do Greenwich, albo... Ale on sam jej to za powrotem wytłumaczy...

Tymczasem dzień się dłużył. Po południu spodziewała się Zuzanny i cieszyła się na miłą pogawędkę z tą serdeczną swą koleżanką. Hrabina Tournay pozwoliła córce na tę wizytę, bo Małgorzata poprosiła ją o to wobec księcia Walii, który nie czekając na zdanie matki, sam projektowi przyklasnął...

Ale Zuzanny jeszcze niema. Małgorzata ubierała się powoli. Biała muślinowa suknia, przewiązana niebieską szarfą, doskonale uwydatniała jej zręczną, dziewczęcą jeszcze postać. Na skrzyżowaniu białej chusteczki, okalającej szyję i biust, przypięła sobie kilka ciemnych róż jesiennych.

Tak wystrojona zamierzała zejść do dolnych salonów i stała właśnie u schodów, gdy spostrzegła, że Frank, zaufany służący jej męża, otwiera i sprząta pokoje swego pana. Ponieważ po przybyciu do Richmondu zajęła od razu osobne skrzydło pałacu, nie знаła zupełnie apartamentów męża i ogarnęła ją pokusa

zwiedzenia ich. Zwłaszcza zaciękała ją jego kancelaria, do której — jak słyszała — nikt ze służby nie miał przystępu. Frank strzegł wprowadzić tego zakazu zazdrośnie, ale była pewna, że jako żonie sprzeciwić się on nie zechce, albo nie odważy...

Jakże często wyśmiewała męża z powodu tej tajemniczej kancelarii, utrzymując, że stoi tam pewnie najwygodniejszy jego fotel i do drzemki go zaprasza. Idąc korytarzem, minęła kolejno salonik, ubieralnię, sypialnię i w końcu dostrzegła, że i sanktuarium dziś było otworzone, a Frank — gdzie indziej zajęty. Z dziecinną ciekawością i wzruszona własną odwagą weszła do tak zazdrośnie strzeżonego przybytku.

W pierwszej chwili doznała dziwnego wrażenia na widok skromnego urządzenia całego pokoju. Ciemne portiery, proste dębowe meble, kilka map, rozwieszonych na ścianach, nie tu nie przypominało tego amatora koni i wyścigów, tego salonowca i eleganta, jakim wydawał się sir Percy z pozoru.

Na środku stało ogromne biurko, zniszczone już trochę i założone od góry do dołu papierami. Po lewej portret Boucher'a, przedstawiający jego matkę. Mało wiedziała o niej Małgorzata, chyba to jedno, że wczesnie odumarała syna po ciężkiej chorobie. Teraz z podziwem wpatrywała się w tę piękną twarz i uderzyło ją niezwykle podobieństwo pomiędzy matką a synem. To samo niskie, szerokie czoło i włosy gęste i jasne; te same głęboko osadzone niebieskie oczy, z wyrazem pewnego jakby rozleniwienia, kryjące jednak zapał i namietność, które były charakterystyką lorda Blackeney'a z dawnych przedślubnych jego czasów. Przyjrząwszy się dokładnie portretowi, zwróciła się do biurka i stanęła zdziwiona i zawstydzona.

Tyle razy wyśmiewała męża, że nie zajmuje się niczym poważnym, że jest próżniakiem i pustogłowem, myślącym tylko o zabawie, a teraz oto stoi przed biurkiem człowieka, który sam zarządza swoim ogromnym majątkiem. Księgi, notatki, listy, rachunki, wszystko porubrykowane, poskładane w największym porządku. I to wszystko robi człowiek, o którym mówią, że ma słabą mózgowicę? Ten pokój, czysty, porządny, bez śladu jakiegokolwiek zhytku dowodzi niepospolitej inteligencji właściciela. Czemuż zatem udaje błazna, plecie głupstwa,



śmieje się idiotycznie i w ogólności stara się usilnie przekonać każdego o swej bezdennej głupocie i o swej ciężkiej, bezmyślnej i ospałej naturze?

Im dłużej o tym myślała, tym mniej zrozumieć mogła. Było jej tu jakoś nieswojo, nawet trochę strasznie w tym pokoju. Nie było tu obrazków na ścianach, za to wisiało kilka map Francji, a zwłaszcza jedna północnych jej brzegów, bardzo szczegółowa.

Miała już dosyć tego pokoju i zagadkowych myśli, które jak rój owadów trapić ją zaczęły... Bała się też trochę, by ją nie zeszedł służący na tym przeglądzie biurka męża. Po raz ostatni rzuciła okiem dookoła i odchodziła już, gdy raptem trafiła nogą o jakiś drobny przedmiot, który się dalej potoczył. Spieszenie podniosła go i zobaczyła okrągły gładki pierścionek z krwawnikiem, na którym była wyryta dewiza dobrze jej znana w kształcie gwiazdki, nie, nie gwiazdki... kwiatka.

Nie ma wątpliwości, zna tę pieczętkę... Widziała ją raz na operze, a drugi raz na balu u lorda Grenvilla.



### ROZDZIAŁ III.

#### ANYŻ.

Kiedy pewne wątpliwości opanowały umysł jej, nie byłaby umiała tego określić. Ściskając w ręku pierścioneł, zbiegła ze schodów i dopiero znalazłszy się w ogrodzie, usiadła pod drzewem i zaczęła oglądać sygnet.

Niel! To było śmieszne. To pewnie tylko jej nerwy rozdrażnione wyszukują tajemnicze znaki w każdym drobiazgu. Przecież w londyńskim towarzystwie stało się modne używanie dewizy tajemniczego, szlachetnego przywódcy sprzysiężenia. Ona sama miała breloczek i szpilkę do włosów z kwiatkiem anyżu i na jednej z sukien wyhaftowano jej ten symboliczny kwiatek. Cóż zatem dziwnego, że i mąż jej ma ten modny symbol na sygnetie? Cóż wspólnego może mieć elegancki dandys, jakim jest sir Percy, z tym dzielnym junakiem? Przecież tamten zajmował się ratowaniem nieszczęśliwych ofiar z pod gilotyny!

Płatały się jej myśli...

— Cherie (droga)! Cherie! Gdzie jesteś? — i mała Zuzanna, świeża jak pączek róży, z wesołymi oczami biegła ku niej przez gazon zielony.

— Powiedzieli mi, że jesteś w ogrodzie, — trzepała wesoło, zarzucając ręce na szyję Małgorzaty — więc chciałam cię zająć niespodziewanie. Nie oczekiwałaś mnie tak prędko, prawda? Moja najdroższa Margot!

Małgorzata schowała pierścień w chustkę do nosa i wysiłała się, żeby odpłacić Zuzannie równą serdecznością.

— Kochanie moje — mówiła z uśmiechem — to miła rzecz

mieć cię na wyłączną własność przez dzień cały... Czy tyła nie znudzisz się u mnie?

— Nudzić się? Margot, jak można robić takie przypuszczenie? W naszym starym kochanym klasztorze byłyśmy najszczęśliwsze, gdy nam pozwalano być samym.

Wziąwszy się pod rękę, spacerowały po ogrodzie.

— Jak śliczny masz dom, droga Margot! — mówiła Zuzanna z zachwytem. — Jakże musisz być szczęśliwą!

— Tak jest! Powinnam być szczęśliwą, moje kochanie! — rzekła Małgorzata z wielce mówiącym westchnieniem.

— Tak smutno to mówisz, cherie... Ale prawda, teraz, kiedy jesteś mężatką, nie możesz mi opowiadać swoich sekretów. Pamiętasz, ile miałyśmy zawsze sekretów w klasztorze? Niektórych nie mówiłyśmy nawet siostrze Teresie, chociaż to była taka dobra dusza...

— Ale ty masz najważniejszy sekret do powiedzenia, moje małeństwo — rzekła Małgorzata — i powiesz mi go niezawodnie... Nie masz się czego rumienić!...

— Ależ nie! Ja się tego nie wstydzę! — odrzekła Zuzanna łagodnie. — Jak myślisz, czy mama się zgodzi? — pytała zamysłona. — Oh! Naturalnie dopiero, jak ojciec będzie już poza niebezpieczeństwem.

Małgorzata wzdrygnęła się. Ojciec Zuzanny! Hrabia Tournay! To jeden z tych, których Chauvelin zamknie, jeśli zdoła ująć Anyżę.

Wiedziała, że tajemniczy przywódca sprzysiężenia zobowiązał się słowem, danym hrabinie, że wydobędzie jej z Francji męża zdrowego.

Znów stanęły przed nią żywo zdarzenia ubiegłej nocy. Niebezpieczeństwo brata, groźba Chauvelina, jego okrutne „albo — albo“. Jej decyzja! A potem... jej wskazówki, mające mu pomóc w odszukaniu Anyży.

Od tej chwili Chauvelin nie dał znaku życia... Nie udała mu się próba w jadalni, jednakże Małgorzata nie lęka się o Armanda. Przecież mąż jej zapewnił ją, że mu nie nie będzie.

Ale teraz, kiedy o tym myśli dokładnie, przypomina sobie,



że wprowadzić Chauvelin nie jej nie powiedział, ale śmiał się ironicznie i tak jakoś złośliwie... Może coś odkrył i już uknuł plan, ażeby tego nieszczęśliwego pochwycić i bez zwłoki posłać pod gilotynę!

Skamieniała z przerażenia na tę myśl. Ręką przyciskała sygnet do sukni.

— Ale ty mnie nie słuchasz, chérie! — powiedziała Zuzanna z wymówką, przerwawszy nagle swoje długie, zajmujące opowiadanie.

— Ależ słucham, najdroższa, naprawdę słucham! — mówiła z wysiłkiem Małgorzata. — Lubię, jak mówisz i cieszę się twoim szczęściem... Nie obawiaj się... Przekonamy mamę. Sir Andrew jest szlachecciem angielskim, ma pieniądze i stanowisko, hrabina nie odmówi przyzwolenia... Ale, droga moja... powiedz mi... jakie macie ostatnie wiadomości o ojcu?

— Oh! — mówiła Zuzanna uradowana. — Najlepsze, jakie być mogą. Lord Hastings odwiedził mamę dziś rano i uspokoił nas. Zapewnił, że najdalej za cztery dni ojciec będzie już w Anglii.

— Czy wiesz, — ciągnęła dalej tajemniczo — sam Anyż, ten wielki i szlachetny Anyż pojechał ratować ojca... Pojechał naprawdę. — dodała wzruszona. — Jeszcze dziś rano był w Londynie, jutro będzie w Calais... Spotka się z ojcem, a potem... potem...

Piorun uderzył. Małgorzata czekała na tę wiadomość, wiedziała, że usłyszy ją, ale usiłowała odtrącić ją, zmylić własne obawy... Pojechał do Calais... był w Londynie dziś rano... Kto? Anyż! Percy Blackeney!... Jej mąż, którego Chauvelin odkrył dzięki jej zdradzie!

Percy, Percyl!... Jej mąż jest Anyżem! Jak mogła być tak ślepą. Zrozumiała teraz... jego błazeństwa... udawanie... ażeby niczyjej nie zwrócić uwagi.

I tę wszystko z zamięłowania do przygód awanturniczych... Rатуje mężczyzn, kobiety, dzieci... Może on chciał powiedzieć jej to po ślubie, ale historia markiza de St. Cyr doszła do jego uszu, więc odsunął się od niej z obawy, by nie zdradziła jego



i wiernych, oddanych mu towarzyszy. Oszukiwał ją tak jak innych i dzięki temu tylu ludzi uszło śmierci...

Dobrze grał swoją rolę. Pozory gluptaska zmyliły nawet Chauvelina i jego szpiegów. Nikt nie szukał śmiałego awanturnika w osobie tego ospałego eleganta. Nawet Chauvelin, mówiąc o pobycie w jadalni lorda Grenvilla rzekł, iż był tam „tylko” lord Percy, śpiący w rogu sofy.

Czy przebiegły jego umysł odgadł tajemnicę? Co za wstrętna, przerażająca ironia losu. Zdradzając bezimiennego cudzoziemca, ażeby ocalić brata, Małgorzata Blackeney skazała na śmierć swego męża.

Nie! Po tysiąc razy nie! Los nie wyrządziłby jej krzywdy. Ręka jej, trzymająca tę fatalną karteczkę, powinna była uschnąć, zanim popełniła ten straszny czyn.

— Co ci jest, cherie? — spytała mała Zuzanna, naprawdę zaniepokojona, gdyż nagle cera Małgorzaty stała się popielatą. — Czy ci nie dobrze, Małgorzato? Co ci jest?

— Nic, nic, dziecko! — mówiła jak we śnie. — zaczekaj chwilę... niech pomyślę!... Mówiłaś, że ten... Anyż dziś wyjechał?...

— Małgorzato, co ci jest? Przerażasz mnie...

— Nic, ale muszę być samą... najdroższą... Może skrócimy twój pobyt tutaj... Może ja pojedę... ty to zrozumiesz...

— Rozumiem, że się coś stało i że chcesz być samą. Nie chcę ci przeszkadzać. Nie myśl o mnie. Moja służąca, Lucy, jeszcze nie odeszła... Wrócimy razem... Nie myśl o mnie...

Choć młoda jeszcze, Zuzanna odczuła, że jej przyjaciółka ma jakieś ciężkie zmartwienie i z wrodzoną delikatnością i taktem nie wypytywała o nic, tylko pragnęła się usunąć. Ledwie weszła na stopnie tarasu, pozostawiając Małgorzatę w chaosie myśli i planów, gdy minął ją służący z listem zapieczętowanym, Stanęła, obawiając się jakichś złych nowin dla swej biednej Margot.

Małgorzata wzięła list i obracała go na wszystkie strony. Ręce jej drżały.

— Od kogo ten list? — zapytała.

— Posłaniec miał rozkaz oddać list mylady — powiedział służący — i mówił, że mylady sama będzie wiedziała, od kogo!

Rozdarła kopertę. Przeczcucie jej nie zawiodło. Był to list St. Justa, zrabowany przez szpiegów Chauvelina z pomiędzy papierów lorda Tfoulkes, list, którym wymuszono na niej posłuszeństwo... Chauvelin dotrzymał słowa... To znaczy, że jest już na tropie Anyża.

— Przyprowadź mi tego posłańca! — rozkazała służącemu spokojnym głosem. — A może już poszedł?

— Nie jeszcze, mylady!

Gdy służący odszedł, Małgorzata zwróciła się do Zuzanny:

— Idź dziecko, odeślę was powozem, każ Lucy zbierać się. A powiedz także jednej z moich dziewcząt, by przygotowały dla mnie suknię do podróży i płaszcz.

Zuzanna uściskała ją serdecznie i odeszła bez słowa. Była wzruszona do głębi, widząc rozpacz na twarzy swej przyjaciółki.

W chwilę później przyprowadzono posłańca.

— Kto oddał ci ten list? — spytała Małgorzata.

— Jakiś pan, mylady, — odpowiedział — w oberży pod „Różą i Bodiakiem“ naprzeciw Charing Gross. Powiedział, że mylady będzie już wiedziała.

— W oberży? A cóż on tam robił?

— Czekał na obstałowany powóz, mylady.

— Powóz?

— Tak jest, mylady, mówili tam, że pan ten obstałował powóz i jedzie prosto do Dowru.

— ~~Bo~~! Możecie odejść!

A zwracając się do swego służącego, rozkazała:

— Powóz i czwórka najlepszych koni dla mnie zaraz!

Pozostała sama.

Łamiąc ręce powtarzała z desperacją w głosie:

— Co robić? Oh, Boże, co robić? Gdzie go szukać? Boże, oświeć mnie!

Ale nie była to chwila stosowna do rozmyślań. Za winy trzeba płacić nie próżnym narzekaniem, lecz czynami. Chauvelin naturalnie jedzie też do Calais, ażeby złapać nie tylko Anyżę, ale i hrabiego de Tournay i Armanda, wszyscy oni napewno czekają na jej męża, jak na zbawcę. A teraz? Najpierw trze-



ba przestrzec męża. Znała go zbyt dobrze, ażeby nie wiedzieć, że raz dawszy słowo, nie cofnie się przed żadnym niebezpieczeństwem i będzie się starał ratować ich w dalszym ciągu, ale może zmylić pościg Chauvelina, zmieniając plan. Dlatego trzeba koniecznie uprzedzić go, powiadomić, że jego papiery i dotychczasowy plan działania są w ręku szpiega.

A jeżeli jednak to wszystko na nic się nie przyda? Jeżeli mimo to w ręce Chauvelina wpadną Percy i brat jej? Cóż jej pozostanie? Tylko jedno, umrzeć razem z nimi! Percy będzie wiedział przynajmniej, że zawsze go kochała, nieporozumienie skończy się i przynajmniej na krótko połączą się w gorącym, serdecznym uczuciu.

Nowa energia wstąpiła w jej serce. Musi postąpić rozważnie, by osiągnąć cel. Przede wszystkim pojedzie do lorda Tfoulkesa i poprosi go, żeby z nią jechał. Wiedziała, jak ślepo, jak mocno kocha sir Andrew jej męża. Będzie miała w nim dzielnego sojusznika.

Pożegnała Zuzannę i spokojnie, bez gorączkowego podniecenia wybierała się w drogę.

---



## ROZDZIAŁ IV, PRZYJACIEL.

Z pomiędzy członków sprzysiężenia Anyża wybór Małgorzaty padł na lorda Tfoulkesa w pierwszym rzędzie dlatego, że miłość młodego lorda do Zuzanny mogła być dlań niemałą ostrogą. Ratunek ojca Zuzanny, hrabiego Tournay, był oprócz jej brata, celem wyprawy Anyża. Niemniej jednak zdecydowana była w razie nieobecności lorda Tfoulkesa zwrócić się do innego z domniemanych członków sprzysiężenia, bo sama jako kobieta, nie wiedząc, gdzie się obrócić, była bezsilną.

Na szczęście sir Andrew był w domu i służący wprowadził ją natychmiast do małej, zbytkownie urządzonej jadalni. Za chwilę zjawił się gospodarz, ale pośpiech jego, niepokój w twarzy i wzrok trochę podejrzliwy, były wskazówką dla Małgorzaty, że zanim potrafi namówić go do niesienia ratunku mężowi, będzie musiała uspokoić jego zrozumiałą zresztą całkowicie nieufność. Ówczesną modą oboje składali sobie nawzajem długie i sztuczne ukłony i dopiero po chwili przemówiła Małgorzata spokojnie i energicznie zarazem:

— Sir Andrew, nie będę tracić czasu na długie niepotrzebne opowiadania. Pański naczelnik i towarzysz Anyż... mój mąż... Percy Blackeney jest w strasznym niebezpieczeństwie. Jego życie jest zagrożone!...

Gdyby miała była najmniejszą wątpliwość co do identity mężczyzny swego z przywódcą sprzysiężenia, byłaby się od razu o tym upewniła. Zdziwiony i przerażony, pobladł śmiertelnie i nie próbował jej przeczyć.

— Nie idzie o to, w jaki sposób dowiedziałam się tego, —

dodała spokojnie — dość, że wiem, iż może jest jeszcze dosyć czasu, aby go ratować. Niestety, sama nie mogę tego uczynić i dlatego przyszedłam do pana, sir Andrew, żebyś mi dopomógł.

— Lady Blackeney — mówił sir Andrew prawie nieprzytomnie — ja doprawdy...

— Wysłuchaj mnie pan? — przerwała. — Pomiedzy papierami, które zrabował panom w Dowrze agent francuski, był plan dokładny uprowadzenia hrabiego Tournay i innych. Anyż, to jest Percy, mój mąż, pojechał dziś rano, ażeby ten plan do skutku przyprowadzić. Chauvelin już wie, kto jest Anyżem i jedzie dziś do Calais, ażeby go tam pochwycić. Jaki los go czeka, jeśli Chauvelinowi uda się jego zamiar, mówić nie potrzebuję. Nawet interwencja króla na nic się nie przyda... Robespierre i jego klika postarają się o to, ażeby interwencja przyszła za późno. A wtedy nie tylko wasz naczelnik, ale i ci wszyscy, którzy od niego oczekują pomocy, zostaną skazani na ten sam los.

— Nie rozumiem... — odpowiedział sir Andrew. — Nie wiem, co na to poradzić... — zastanawiał się, ale równocześnie obawiał się i nie ufał pięknej pani.

— Ależ tak, rozumiesz pan to z pewnością! — mówiła Małgorzata, starając się utrzymać na wodzy nerwy i zachować spokój. — Pan wiesz, że mówię prawdę. Przypatrzmy się zresztą faktom. Percy pojechał do Calais, przypuścmy, że jest na jakimś samotnym wybrzeżu. Chauvelin pojechał dziś do Dowru, jutro przepłynie kanał, by śledzić go krok w krok! Więc co będzie??

Młody lord milczał.

— Percy, dostawszy się do Francji, będzie szukał hrabiego Tournay i St. Justa, mego brata. Chauvelin nie straci ich z oka i dopiero w chwili, gdy będą chcieli wyjeżdżać, złapie ich razem w pułapkę i odda na pastwę gilotynie.

I teraz jeszcze sir Andrew nie odczuwał się ani słowem.

— Pan mi nie wierzy, nie ufa? — wybuchnęła gwałtownie. — Czyż posądza mnie pan o kłamstwo? Człowieku! — dodała,



chwyłając go drobnymi rękami za ramiona i patrząc mu prosto w oczy. — Czy wyglądam na potworną żonę, która szpieguje i denuncjuje własnego męża?

— Broń Boże, lady Blackeney! — powiedział w końcu młodzieniec. — Nie przypisuję pani tak zbrodniczych zamiarów, ale...

— Ale co? Mów pan prędzej, każda chwila jest droga!

— Czy mi pani powie, — zapytał w końcu odważnie — za czym pośrednictwem doszedł Chauvelin do tej wiadomości?

— Za moim! — powiedziała spokojnie. — Przyznaję się, nie chcę kłamać, bo pan musisz mi uwierzyć! Ale ja nie miałam pojęcia! Skąd mogłam wiedzieć, że Anyż to mój mąż?... A... w nagrodę obiecano mi... ocalić mojego brata.

— To miała być nagroda za pomaganie Chauvelinowi w szpiegowaniu Anyża?

— Tak! — potwierdziła Małgorzata. — Armand był wszystkim dla mnie, a... skąd mogłam odgadnąć?... Ale nie tracimy czasu... Sir Andrew... tam mój mąż jest w niebezpieczeństwie!... Wszak to twój przyjaciel, panie! Towarzysz! Pomóż mi! Musimy go uratować.

Sir Andrew był w bardzo trudnym położeniu. Uroczysta przysięga, złożona naczelnikowi, obowiązywała go do ślepego posłuszeństwa i tajemnicy. A tutaj ta piękna kobieta błaga, by jej zaufała. Jak na dłoni widział też niebezpieczne położenie ukochanego wodza...

— Lady Blackeney, — powiedział w końcu — muszę namyśleć się, jaki jest mój obowiązek. Wszyscy, ilu nas jest, każdy życie za niego oddać gotów...

— Nikt życia waszego nie żąda, przyjacielu! — mówiła sucho i twardo Małgorzata. — Pieniądze, które mam przy sobie i czwórka moich koni wystarczy. Ale, ja nawet nie wiem, gdzie go szukać!...

Oczy jej zasłzy łzami.



— Panie, upokorzyłam się, wyznałam mój błąd. Czyż mam wyznać więcej? Mąż i ja byliśmy sobie obcy. On, bo... mi nie ufał. Ja, bo... nic nie mogłam zrozumieć. Gdy przeszłej nocy popełniłam błąd i naraziłam go na niebezpieczeństwo, równocześnie spadły łuski z mych oczu! I to wiem, że jeśli mi pan nie pomożesz, sama będę próbować. Użyję wszelkich środków, jakich będę mogła użyć. A jeśli mi się nie powiedzie, jeśli będzie za późno... Pozostanie to ciężkim wyrzutem na sumieniu pana, bo... bo... co do mnie... wiem, że mi serce pęknie.

— Lady Blackeney! — powiedział wzruszony i rozczulony młodzieniec. — Nie możesz pani sama jechać do Calais. Byłabyś narażona na tysiące niebezpieczeństw. A i to bardzo wątpliwe, czy go ocalisz, nawet z moją pomocą...

— Ah! Spodziewam się trudności i niebezpieczeństwa! — szepnęła skruszona. — Mam przecie odpokutować za winę. Myli się pan co do obawy o mnie. Chauvelin zajęty swą śledczą robotą nie zauważył mojego odjazdu. Prędzej, sir Andrew, powóz czeka... Chwili do stracenia niema... Muszę, muszę jechać do niego... Jeśli nawet będzie za późno... chcę być przy nim!

— Dobrze pani! Ale idę wezwać dzielnych towarzyszy do pomocy... Pani chce koniecznie jechać?

— Oszaleję z rozpaczy mój przyjacielu, jeśli tu zostanę... — wyciągnęła do niego rękę. — Czy już mi pan wierzy?

— Jestem na pani rozkazy! — odrzekł po prostu

— Proszę posłuchać. Jadę prosto do Dowru. Pan przyjedzie tam także. Nad wieczorem spotkamy się w „Spoczynku Rybaka“. Chauvelin tam nie stanie, bo będzie się obawiał, że go poznają. Nocą popłyniemy do Calais i tu liczę na opiekę pańską, jeżeli zechcesz mi towarzyszyć w przebraniu... jako mój lokaj... Myślę, że moglibyśmy przejechać niepostrzeżenie w ten sposób przez kanał...

— Zastosuję się do życzenia pani! — zapewniał młody człowiek poważnie. — W Bogu nadzieja, że spotkamy „Sen“

w drodze do Calais. Każdy krok jego we Francji to tyleż niebezpieczeństw.

— Boże chroń go! Bądź pan zdrow. sir Andrew. Spotkamy się w Dowrze!

Za chwilę była już w drodze.

---

## ROZDZIAŁ V.

### ZWŁOKA.

Niespodziewany przyjazd lady Blackeney późną nocą do „Spoczynku Rybaka” wywołał tam ruch niezwykle.

Sally wyskoczyła z łóżka, a czcigodny Jellyband zadał sobie dużo trudu, by zapewnić wygodę niepospolitemu gościowi. Główna izba oberży, pamiętne miejsce nocnego napadu, była pustą, zapalił lampę i rozżarzył węgle na kominku, nie dając poznać po sobie zdziwienia z powodu tej nocnej wyprawy.

— Czy mylady będzie tu nocować? — pytała piękna Sally, zając się nakryciem stołu i przyrządzeniem posiłku.

— Nie! Prawdopodobnie zabawię kilka godzin tylko! — odpowiedziała Małgorzata. — Będę czekać odpływu, ażeby przepłynąć kanał. Ale powóz i ludzie moi tu zostają i to przez parę dni. Mam nadzieję, że dbać będziesz o nich, panie Jellyband?

— Tak jest mylady, dopilnuję wszystkiego. Czy Sally może przynieść coś do jedzenia?

— Tak, proszę o cokolwiek choćby zimnego, a jak tylko sir Andrew przyjedzie, puście go tutaj.

— Tak, mylady!

Przerażenie odmalowało się na twarzy zanego Jellybanda.

Miał on wielki szacunek dla lorda Blackeney i nie podo-  
bało mu się to wcale, że żona jego przybyła tu z... innym mło-  
dym panem. Naturalnie nie mu do tego, plotek robić nie bę-  
dzie. W głębi duszy przypominał sobie, że mylady jest „cudzo-  
ziemką”, więc i coś dziwnego, że nie jest tak moralna, jak tamci  
wszyscy z poza kanału.



— Nie czekajcie, panie Jellyband! — ciągnęła dalej Małgorzata. — I panna Sally niech idzie spać. Sir Andrew może przyjechać bardzo późno.

Jellyband rad był wyprawić córkę. Coś mu się to wszystko bardzo nie podobало i wydawało się podejrzane.

Sally, ustawivszy na stole wino, mięso i owoce, złożyła niski ukłon i wyniosła się, rozmyślając, czemu mylady jest taka smutna, właśnie teraz, kiedy ucieka z pięknym kawalerem.

Zaczęły się długie chwile oczekiwania. Małgorzata wiedziała, że sir Andrew przybędzie do Dowru o parę godzin później niż ona. Przecież musiał jeszcze starać się o przebranie i nie miał tak dobrych koni. Jednakże dręczyła ją myśl, że Chauvelin mógł znacznie wyprzedzić ich oboje. Zwłaszcza, że obawiała się pytać po drodze, przypuszczając, że wszędzie mogą być szpiedzy jego, słyszeć jej pytania i uwiadomić o tym agenta.

Z pięknego, jasnego dnia uczyniła się noc pochmurna i zimna. Wiatr wstrząsał oknami, pokładał ze świstem drzewa, wył w kominie i huczał na morzu. O wieżę admiralicji rozbijały się fale z jednostajnym grzotem.

Straszne to było oczekiwanie. To też Małgorzata uśmiechnęła się radośnie na widok lorda Tfoulkesa, wchodzącego w liberii, co do reszty popsulo humor oberżyscie.

Z bardzo poważną miną odkorkował butelkę wina, przysuwał krzesła i podawał talerze. W końcu spostrzegła Małgorzata, jakiego zgorszenia była powodem.

— Dziękuję, zacny przyjacielu! A oto nagroda za kłopot ~~zawiniony~~! — rzekła, podając mu kilka sztuk złota. — Możesz odejść, już więcej potrzebować cię nie będziemy!

— Nie, lady Blackeney! — wmieszał się sir Andrew. — Przeciwnie potrzebna nam jest gościnność Jellybanda, gdyż ~~nie~~ popłyniemy tej nocy.

— Jakto? — zawołała Małgorzata. — Musimy przecież, musimy za jakąkolwiek cenę dostać okręt.

Młodzieniec potrząsnął smutno głową.

— Tu nie o cenę idzie, lady Blackeney. Silny wiatr wieje od brzegów Francji i żaden okręt nie popłynie dzisiaj.

— Ależ my musimy... — błagała śmiertelnie błada Małgorzata. — Czy nie można znaleźć jakiegoś sposobu?

— Byłem już w przystani — odpowiedział — i rozmawiałem z marynarzami. Jest to niepodobieństwo. „Nik t” — dodał z naciskiem — nie odważy się wypłynąć z Dowru tej nocy.

Zrozumiała w końcu, że ten „nik t” odnosi się do Chauvelina.

— Czy mogę tedy dostać tutaj pokój? — spytała Jellybanda.

— Ależ tak. Duży, jasny pokój dla mylady. A drugi dla pana, mylordzie? — pytał coraz bardziej niespokojny gospodarz.

— Tak, naturalnie, przyjacielu! — odpowiedział serdecznie sir Andrew. — Nie obawiaj się, Jelly, choć o tak późnej porze bytność lady Blackeney jest zawsze zaszczytem dla ciebie. A sir Percy wynagrodzi cię podwójnie, jeśli dbać będziesz o jej wygodę.

Rozjaśniła się szeroka twarz oberżysty, słowa lorda Tfoulkesa uspokoiły od razu wszelkie jego podejrzenia.

— Zaraz pójde przygotować pokoje! — powiedział pośpiesznie zupełnie już rozkrochmalony. — Czy mylady nie więcej tutaj nie potrzeba?

— Mam wszystko, czego potrzebuję, może pan odejść, panie Jellyband! — odpowiedziała Małgorzata. — A teraz — dodała po odejściu oberżysty — proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie.

— Niewiele mam do powiedzenia. — odrzekł młody człowiek. — Burza nie pozwoli nam skorzystać z odpływu, ale to raczej szczęście w nieszczęściu, bo tak samo nie odpłynie Chauvelin.

— Jeżeli nie odpłynął przed burzą.

— Dałby to Bóg, bo do tego czasu leżałby już napewno gdzieś na dnie morza. Ale, niestety, nie zrobił nam tej satysfakcji. Pytałem w przystani: jakiś podróżny szukał okrętu; przyjechał on do Dowru powozem po południu.

— Więc Chauvelin jest w Dowrze?



— Bez wątpienia. Możebym tak poszedł, wyszukał go i na-  
dział na moją szpadę? Wszystkie trudności byłyby od razu  
usunięte.

— Nie, sir Andrew, niech pan da spokój żartom. Ileż to  
razy już spostrzegłam się, że w duszy życzę śmierci Chauveli-  
nowi, propozycja pańska jednak jest niemożliwą. Tylko we  
Francji, w pięknej mojej ojczyźnie, morderstwo jest upraw-  
nione i to w imię wolności i braterstwa.

Sir Andrew miał trudne zadanie. Musiał namówić Małgo-  
rzatę, żeby pożywała się należycie. Ażeby ją do tego nakłonić,  
zaczął jej opowiadać różne wyprawy jej męża. Odgadł wi-  
docznie, że jest to jedyny przedmiot, który zajmie jej uwagę.  
Słuchała z zajęciem i z zapałem, gdy mówił o czynach boha-  
terskiej odwagi Blackeneya. Śmiała się z różnych przebrań,  
w jakich występował. Sir Andrew opisywał jej dokładnie kilka  
przygód, których był świadkiem i tak minęła długa godzina.

Pozostawało jeszcze czternaście godzin do następnego od-  
pływu i Małgorzata, posłuszna jak dziecko, poszła spać na proś-  
bę lorda Tfoulkesa. Mimo to nie mogła spać. Podniecenie,  
obawa i huk fal morskich odpędzały stale sen z jej oczu. Le-  
żała cichutko, uspakajając się myślą o tym, że „Sen“ jest sil-  
nym i pewnym okrętem. Briggs doświadczonym marynarzem  
i że zapewne burza ta nie złapała jej męża w drodze, bo albo  
zawinął już do Francji przed jej wybuchem, albo też czeka  
spokojnie na spokojniejszy czas w Gravesend.

---



## ROZDZIAŁ VI.

### CALAIS.

Zmęczona bezsenną nocą zerwała się wczesnie Małgorzata, zdawało jej się bowiem, że każda chwila przybliży ją do upragnionej wyprawy.

Na dole zastała lorda Tfoulkesa, który wstał o pół godziny wcześniej niż ona. Był już przy wieży admiralicji i tam dowiedział się, że wiatr nie zmienił się i że nawet zwykły okręt pocztowy nie odpłynie do Calais. Zdawało się jej, że zemdleje, rozpacz złamała ją, zwłaszcza, że i jej towarzysz nie ukrywał niepokojów o swego wodza.

Bezczynność jest straszną rzeczą zwłaszcza w podobnym położeniu, bo była przymusową. Jak przebyli ten cały dzień oczekiwania, żadne z nich nie potrafiłoby odpowiedzieć. Sally zanosila im posiłek na górę, gdyż Małgorzata obawiała się pokazywać na dole ze względu na prawdopodobną obecność jakiego szpiega francuskiego i czekali oboje zrozpaczeni i bezradni, pyłając się nawzajem, kiedy wybije godzina wyjazdu.

Po południu sir Andrew wyszedł rozejrzeć się i powrócił z lepszymi wieściami. Wiatr ustawał, oczekiwano odpływu, by najlepszym okrętem, jaki się dało wynaleźć, wyruszyć ku brzegom Francji.

O piątej wieczorem poszli pieszo ku przystani. Małgorzata gęstym woalem zasłonięta, za nią sir Andrew w liberii, obciążony pakunkami, jak na lokaja przystało. Na morzu dopiero Małgorzata odżyła. Podniecona nadzieją, że zbliża się do celu drogi, oddychała swobodniej, patrząc na cudowny zachód słońca i tonące w mgle brzegi Anglii. Wiatr wydymał żagle „Krzy-

Ża z plany" i to we właściwym kierunku tak, że w parę godzin mimo spóźnionego wieczoru można było rozpoznać skały koło Calais i poszczególne wieże kościołów.

W pół godziny potem stała już na swej ojczyściej ziemi.

Wygląd miasta i jego mieszkańców, mimo, że tylko o trzy-sła mil od Paryża oddalonych — różnił się znacznie od tego widoku, jaki przedstawił się jej przed dwoma laty, gdy te brzegi opuszczała. Zdawałoby się, że te krwawe morderstwa, ta ziejąca wściekłość rewolucji rzuciła jakiś cień ponury na te dawniej wesołe i z natury żartobliwe natyry. Nawet kobiety patrzyły podejrzliwie z podełba. Ludzie obawiali się siebie nawzajem, bo jeden drugiemu był szpiegiem. Każda głowa tkwiła w czerwonej, mniej lub więcej brudnej czapce fryzyskiej. Każda czapka miała u boku trójkolorową kokardę.

Widok wielkiej pani, idącej ze swym służącym, wywoływał gromkie okrzyki „Sacres aristos“ albo „Sacres Anglais“. (Przeklęci arystokraci; przeklęci Angliacy).

Małgorzata zastanawiała się, jakim cudem ogromna postać jej męża mogła się przesunąć przez te uliczki bez wrażenia i bez obudzenia podejrzeń. Nie wiedziała, że w rzeczy samej ci obywatel francuscy byli bardzo przychylnie usposobieni dla Anglików. W Calais jak i we wszystkich portowych miastach roiło się od przemytników. Kontrabanda towarów francuskich do Anglii była źródłem dostatku niejednego mieszczucha, a że to się działo na niekorzyść króla angielskiego, tym lepiej, tym uprzejmiej zapraszali i ułatwiali obcym to rzemiosło.

Po niedawnej slocie, ulice w Calais wydały się Małgorzacie błoniste i zapowietrzone. Woń nieświeżych ryb i wilgotnych piwnic prześladowała ją. Szli ciemnymi zaułkami i jedynym światłem, które im umożliwiała tę pielgrzymkę, był promień lampy z okna jakiegoś mieszkania. Kilka razy zapadła w błoto po kostki i zaledwie mogła wydobyć się z niego bez utraty pantofli. Jednak myśl, że idzie do oberży „Chat gris“ (Siwy Kot), że jest tu i że może za chwilę spotkać męża, dodawały jej odwagi.

Stąpała jak po listkach różanych, jakby miała skrzydła u nóg.



Nareszcie stanęli u celu swej wędrówki. Oberża, prawdopodobnie na drugim końcu miasta położona, leżała też w pobliżu morza, bo i tutaj dochodził szum fal.

Sir Andrew zapukał łaską w jakieś drzwi nędznego domku i nadsłuchiwał cierpliwie. Pomruk cichych klątw był jedyną odpowiedzią. Uderzył łaską po raz drugi i nowy potok przekleństw dał się słyszeć, tuż za tym jednak słyszać było leniwe, szłapiące kroki.

Drzwi otworzono i Małgorzata znalazła się od razu w tak zniszczonym, brudnym, i zaniedbanym mieszkaniu, jakiego w życiu swoim nigdy jeszcze nie widziała.

Była to właściwie dziura, zapchana połamanymi meblami, pękami szmat, ociekająca wilgocią i brudem. W górze pod powałą widać było niby pięterko — pawlacz ten, cokolwiek balkon przypominający, osłonięty był brudną białą w niebieskie pasy firanką. Małutkie drewniane schodki, przyczepione z boku, wskazywały, że balkon ten, czyli klatka uważany był za oddzielny apartament. Na pustych ścianach, ozdobionych resztkami podartych i brudnych tapet, wypisane były kredą dużymi literami „Wolność — Równość i Braterstwo“.

Zakopcona lampa u powały oświecała blado tę brzydką norę.

Małgorzata niezdecydowana stanęła u wejścia, sir Andrew jednak śmiało przestąpił przez próg.

— Angielscy podróżni, obywatelu! — powiedział rezolutnie po francusku.

Indywidualum, które drzwi otworzyło, było prawdopodobnie właścicielem tego rumowiska. Był to tęgi, szeroki w barach, starszy już chłop w niebieskiej bluzie, takichże pantalonach i olbrzymich drewnianych sabotach, z których sterczały pęki napchanej słomy. Tradycyjna czerwona czapka z trójkolorową kokardą była widocznie wyrazem politycznych jego poglądów. Drewniana fajka, napełniona ordynarnym tytoniem, wypełniała izbę smrodliwym dymem. Z pogardą patrzył na „sacrés Anglais“ i pluł im pod nogi, objawiając tym niezależność swego ducha. Mimo to ustąpił, aby weszli do środka, pamiętny pewnie pełnej kieski tych „sacrés Anglais“.



— Boże! — rzekła Małgorzata, trzymając chustkę przy nosie. — Co za straszna dziura! Czy pan jest pewny, że to tutaj?

— Tak, jestem pewny! — odpowiedział sir Andrew, otrzepując batystową chusteczką krzesło, by mogła usiąść. — Przyznaję, że trudno spotkać równie wstrętną norę.

Właściciel „Siwego Kota“, Brogard z nazwiska, nie zajmował się nimi wcale. Wolnemu obywatelowi ubliżyłoby okazywać szacunek lub uprzejmość dla ludzi choćby tak jak ci wspomniałych. Przy ogniu poruszała się jakaś postać okryta łachmanami: po czepku, niegdyś białym i czymś, co przypominało spódnicę, można ją było wziąć za kobietę; mruczała coś pod nosem, wciąż mieszając w kotle.

— Hej, przyjacielu! — powiedział w końcu sir Andrew. — Zjedlibyśmy coś... Ta obywatelka tutaj — tu zwrócił się do mruczącego stosu szmat — przyrządza jakąś wyborną zupę, a moja pani już od kilku godzin nie miała nic w ustach.

Brogard zastanowił się. Żadną miarą nie wypada wolnemu obywatelowi pośpiesznie dogadzać tym, którzy żądają czegoś od niego. — „Sacres aristos!“ — mruknął w odpowiedzi i splunął na ziemię.

Powoli zbliżył się do szafy z naczyniami, wyjął mosiężną miskę i podał ją do napełnienia swej połowicy. Na stole ustawił dwie szklanki, które sir Andrew skwapliwie powycierał, dwie cynowe łyżki i pokrajany chleb.

Małgorzata z obrzydzeniem patrzyła na te przygotowania.

— Wolałbym ofiarować pani trochę wspanialsze przyjęcie, — rzekł sir Andrew — ale mam nadzieję, że zupa będzie możliwa, a wino zupełnie dobre. Ci ludzie tarzają się w brudzie, a mimo to nieźle żyją...

— Niech pani zje cośkolwiek! — błagał, widząc, że towarzysza jego nie jest w stanie zabrać się do posiłku. — Proszę pamiętać, że potrzebujemy dużo sił.

Zapach i smak zupy były rzeczywiście możliwe i Małgorzata zjadłaby je chętnie, gdyby nie to straszne otoczenie. Ulażała kawałek chleba i napiła się wina.

— Usiądź pan przy mnie — prosiła — a spróbuję jeść. Ci ludzie nie pomyślą nic gorszego o nas, bo już i tak są pewnie przekonani, że uciekam ze swoim lokajem. Zresztą panu potrzeba sił i pożywienia.

Obywatel Brogard tymczasem palił swoją krótką fajeczkę i stojąc z łokciami o stół opartymi, puszczał dym w samą twarz Małgorzaty, jak „równy równemu“ obywatel czynić powinien.

— Bodajże to bydlę! — powiedział w pasji sir Andrew.

— Na miłość Boską, człowieku! — łajęła go Małgorzata, widząc, że młody lord zaciska pięści. — Pamiętaj, że jesteśmy we Francji!...

— Różgą bym ukarał takiego kpa! — mruczał sir Andrew.

Zasiadł jednak przy stole i oboje oszukiwali się wzajemnie, udając, że jedzą i piją z apetytem.

— Utrzymaj go pan raczej w dobrym dla nas usposobieniu, bo przecież musimy go wypylać. — radziła Małgorzata.

— Spróbuj! Choć wolałbym go zboksować! Hej, przyjacielu! — powiedział wesoło po francusku, uderzając z lekka po ramieniu Brogarda. — Czy widzisz tu naszych, chcę powiedzieć, Anglików?

Brogard popatrzył się w koło, przechylił głowę przez ramię, pyknął parę razy z fajeczki i bez pośpiechu odpowiedział:

— Ano, czasami...

— Oni wiedzą, gdzie szukać dobrego wina! Nieprawdaż? Otóż moja pani chciałaby wiedzieć, czyś nie widział przypadkiem jej dobrego znajomego Anglika, który tu czasem zagląda?... Przyjeżdża on tu do Calais za interesami... Bardzo wysoki, niedawno jeździł do Paryża. Moja pani spodziewa się go spotkać tu w Calais.

Małgorzata bała się spojrzeć, ażeby nie zdradzić wzruszenia, z jakim wyglądała odpowiedzi. Ale wolny obywatel nie spieszył się, poczekał chwilę, potem powiedział powoli:

— Wysoki Anglik? Dzisiaj? Tak!



— Widziałeś go? — zapytał sir Andrew obojętnym tonem

— Tak jest! Był dzisiaj! — bąknął Brogard.

Potem wziął z krzesła kapelusz, nasadził sobie na głowę, ściągnął brudną bluzę w tył — w ogóle przybrał niejako postawę wystrojonego człowieka... „Sacre Aristo“ — mruczał — „ten wysoki Anglik“...

Małgorzata omal nie krzyknęła z radości.

— To sir Percy, jakbym go widziała! — szepnęła. — I nawet nie w przebraniu!

Uśmiechnęła się przez łzy: „zamiłowanie do stroju — pomyślała — nie opuszcza go nawet w takiej przygodzie“.

— Oh! Ta jego szalona odwaga! — westchnęła. — Prędko, sir Andrew, zapytajmy, gdzie poszedł?

— Ah tak — mówił sir Andrew z udaną obojętnością. — mylord nosi zawsze piękne suknie... Ten wysoki Anglik był z pewnością tym znajomym mojej pani... Powiadacie, że poszedł sobie?...

— Poszedł... tak... ale wróci... Tutaj obstałował kolację...

Sir Andrew dotknął ostrzegawczo ramienia Małgorzaty. Na szczęście, bo szaloną radość byłaby zdradziła okrzykiem.

Więc zdrów, przyjdzie tu, zobaczy go za chwilę. Co za szczęście!

— Tutaj? — pytała Brogarda, który wydawał jej się teraz niebiańskim jakimś wysłańcem. — Tutaj, mówicie, powróci?

Ale niebiański wysłannik splunął na podłogę, wyrażając tym pogardę dla wszystkich arystokratów, którzy nawiedzają „Siwego Kota“.

— Ano! — mruczał. — Zamówił kolację, więc wróci... — Sacre Anglais! — dodał, zaznaczając wyraźnie, że nie uznaje, aby tyle wagi przywiązywać do jakiegoś Anglika.

— Ale gdzie on jest teraz? Czy wiecie? — pytała Małgorzata, kładąc swą rękę na brudnym jego rękawie.

— Poszedł po konia i wózek! — powiedział Brogard krótko.



Ko, sierzając z rękawa tę rączkę, którą dumni książęta całowali.

— A kiedy poszedł?

— Nie wiem... — odpowiedział już zły i znudzony. — Dosyć już powiedziałem!... No! Widział to kto?!... Dzisiaj przyjechał... Kolację zamówił... Poszedł... Wróci... Dosyć dla was!

Zaspokoiwszy w ten sposób sumienie swoje, wolnego obywatela, który może być grubianinem, jeżeli mu się podoba, wyszedł z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi z hałasem

## ROZDZIAŁ VII.

### NADZIEJA.

— ~~Zostawmy~~ go już! — rzekł sir Andrew do Małgorzaty, widząc, że chce za nimbiegnąć i jeszcze go o cośpytać. — Niebezpiecznie go wypytywać, bo wzbudzi to w nim podejrzenie. Nie trudno o szpiega w tej rozpaczliwej krainie.

— Nie dbam o nic, — odpowiedziała wesoło — kiedy mąż zdrów i za chwilę go zobaczę.

— Cicho! — zawołał, naprawdę przestraszony. — Zapomina pani, że tu we Francji i ściany mają uszy.

Wstał, obejrzał izbę całą, pobiegł po schodkach na pięterko, pooglądał drzwi, za którymi rozbrzmiewały kłatwy.

— Czy jesteście sami, mój panie lokaju? — pytała wesoło Małgorzata, gdy usiadł po tej inspekcji lokalu. — Możemy mówić?

— Fe! Tak smutną ma pan minę. Ja mam ochotę tańczyć z radości. Nie mam już obaw. Nasz pocziwy okręt, nieoszacowany „Krzyż z piany“ stanął pierwszy u celu. Za jakie pół godziny mąż nadejdzie, przestrzeżemy go. A Chauvelin i sfera jego szpiegów jeszcze nie przybyła...

— Tego wiedzieć nie możemy, był przecież w Dowrze równocześnie z nami.

— Zatrzymany przez burzę? — zauważyła Małgorzata.

— Tak, ale kiedyśmy wsiadali na okręt, zdawało mi się, że go widziałem. Był przebrany za francuskiego duchownego. Słyszałem, jak się wypytywał o inny okręt. Co najwyżej w godzinę po nas mógł tu przybyć

Wyraz radości znikł z twarzy Małgorzaty.

Wiedząc że Chauvelin jest też już tutaj i że we Francji ma kompletną swobodę działania i pochwycenia w jednej chwili tego, którego tak wytrwale śledził, przeraziła ją na nowo. Uprzytomniała sobie od razu i niebezpieczeństwo, grożące w tej chwili jej mężowi i własną swą winę. Bez wątpienia odwaga i zręczność mogły uratować Blackeneya w każdej przygodzie, ale tylko tak długo, póki znano go tylko z jego sławy, nie wiedząc, kim jest naprawdę...

Krew jej zastygła w żyłach. Rozpaczliwe, serce gryzące wyrzuty opanowały ponownie jej myśl. Tak, gdyby nie jej zdrada, można było mieć choć cień nadziei! Że Chauvelin z papierów, zrabowanych w „Spoczynku Rybaka“ — znał cały plan, wiedział, gdzie szukać St. Justa i hrabiego Tournay, to więcej niż pewne... Że nawet, gdyby Percy chciał coś zmienić, to z tamtymi porozumieć się nie może — było również jasne. A więc czekała ich zguba. Gdybyż choć teraz można było ujrzeć go i przestrzec.

Jeszcze jest czas... Chwila ratunku byłaby możliwa... Ale gdzie go szukać?

— Chauvelin zna już tę oberżę z naszych papierów... — mówił zamyślony sir Andrew. — Po wylądowaniu zjawi się tu niezawodnie.

— Jeszcze nie mógł przybyć, wyprzedziliśmy go o godzinę. Percy przyjdzie zaraz i odpłyniemy, zanim Chauvelin się spostrzeże, żeśmy mu umknęli.

Chciała pokrzepić przyjaciela i wmawiać w siebie nadzieję.

Młody człowiek jednak smutno opuścił głowę.

— Wśród tych różowych myśli zapomina pani o jednej ważnej przeszkodzie...

— Nie rozumiem, o czym mogłam zapomnieć. O jakiej przeszkodzie pan myśli?

— O tym, że Blackeney nie wyjedzie z Calais, nie spełniwszy zadania, którego się podjął



— Mój brat! Hrabia Tournay! — zawołała Małgorzata z przerażeniem.

Rzeczywiście od dwudziestu czterech godzin myślała tylko o tym jednym szlachetnym, odważnym człowieku, dla którego tak długo była obojętna. Brat! Kochany opiekun jej sieroczej doli... Łzy posypały się z jej pięknych oczu. Dla brata popełniła czyn tak niski i naraziła życie męża na niebezpieczeństwo...

— Blackeney nie byłby naszym ubóstwianym naczelnikiem, wodzem tyłu dzielnych Anglików, — mówił z dumą sir Andrew — gdyby opuszczał tych, którzy się jego opiece powierzyli. Nie mówię już o złamaniu przysięgi, jaką złożył...

Siedzieli w milczeniu.

Sir Andrew patrzył z współczuciem na piękną kobietę, złaamaną bólem i zgryzołą, która siedziała, zakrywwszy twarz rękami a po palcach jej spływały gorzkie łzy. Tak, był pewny, że Percy nie cofnie się przed żadnym niebezpieczeństwem, że walczyć będzie z Chauvelinem do ostatniego tchu, desperacko, choćby bez nadziei, lecz nie odstąpi od swej obietnicy ratowania bliźnich.

— Niech go Bóg strzeże! — rzekła Małgorzata, starając się osuszyć łzy. Naturalnie, postępuje on szlachetnie i dobrze i nie wolno mi mu w tym przeszkadzać. To zresztą na nie by się nie przydało. Boże! Daj mu siłę i zręczność! Z tym wszystkim, nie mamy czasu do stracenia i zdaje mi się, że trzeba koniecznie uwiadomić go, że Chauvelin idzie za nim krok w krok.

— Przyznaję, — odrzekł młodzieniec — że to byłoby konieczne. Skoro się dowie o tym, wymyśli może jakiś wybieg, coś genialnego, dotychczas zawsze mu się to udawało...

— Więc może pan pójdzie do wioski, a ja tu zaczekam na niego i w ten sposób nie rozminiemy się. Jeżeli go pan spotka, przestrzeżesz go prędzej...

— Tylko że... to bardzo brzydka ta nora... dla pani samej...

— To nic nie znaczy. Może zresztą możnaby prosić gospodarza, żeby mi dał jakiś inny pokój. Tu każdyby mnie zaraz

wypafrzył. Obdaruj go pan pieniędzmi, ażeby mnie na pewno zawiadomił, jeśli wysoki Anglik powróci...

Była pokrzepiona trochę tym, że mogła ułożyć jakiś plan i przygotowana na najgorsze postanowiła nie zdradzać już więcej słabości. Pragnęła być godną żoną tak dzielnego męża.

Sir Andrew uznawał w duszy wyższość jej rozumu i posłuszny zawołał gospodarza.

— Hola, przyjacielu. Moja pani chce się przespać trochę. — mówił sir Andrew, dzwoniąc pieniędzmi na dłoni. — Czy nie macie jakiegoś innego pokoju? Ona chce być sama!

Dźwięk złota widocznie podziałał na starego oberżystę. Wyjął fajkę z ust i wskazał nią po za ramię na pięterko.

— Może tam czekać. — powiedział przez zęby. — Tam jest wygodnie a ja innego pokoju nie mam.

— Najlepiej, co może być! — daj mu pan pieniądze, sir Andrew. — Tam mi będzie dobrze i mogę widzieć wszystkich, nie będąc widzianą.

Skinęła Brogardowi, który w swej łaskawości, wszedł na pawlacz, aby uprzątnąć słomę z podłogi.

— Błagam panią o jedno, — prosił sir Andrew — nie czyń nic zbyt gwałtownie, namyśl się pani dobrze, zanim na co się zdecydujesz. To-miejsce jest napewno pełne szpiegów, więc zaklinam panią, nie zdradź się; choćbyś widziała męża, nie mów do niego nic, dopóki nie będziesz pewną, że nikogo nie ma w pobliżu.

— Dobrze, panie! — rzekła Małgorzata prawie wesoło. — Nie uczynię tego, choćby dlatego, że nadewszystko bałabym się popsuć sprawę. Chcę mu pomagać, a nie szkodzić.

— Nie śmiem pocałować pani ręki, będąc jej lokajem. — mówił sir Andrew. — Sądzę, że miejsce to jest doskonałe dla nas w naszym położeniu; jeżeli za pół godziny nie spotkam Percy'ego, będę pewny, że jest tutaj i powrócę.

— Tak jest, to będzie najlepiej. Możemy, czekać jeszcze pół godziny. Niepodobna, żeby Chauvelin był tu prędzej. Tymczasem spotka pan może Percy'ego!...

— Szczęść Boże! Proszę się o mnie nie obawiać!

Lekko wstępowała na schodki i za chwilę wyjrzała z pięterka, rozsunawszy stare firanki.

Sir Andrew z ulgą ujrzał tam jej twarzyczkę prawie wesołą. Pozycja ta ze względu na możliwość słyszenia wszystkiego, co się dzieje na dole, była doskonała. Obdarował sownie Brogarda, więc przypuszczał, że ich nie zdradzi. Uspokojony na razie, skłonił się pięknej główce na gorze i poszedł w ciemną noc.

---



## ROZDZIAŁ VIII.

### SAMOTRZASK.

Szybko i spokojnie upłynął kwadrans. Małgorzata, rozsławszy sobie płaszcz na słomie, wypoczywała wygodnie. Stara firanka rozdarta była w tak dogodnym miejscu, że właśnie widziała stół, krzesło i mniej więcej środek pokoju. Z całą uwagą śledziła Brogarda, który, pomrukując przekleństwa, z wielkim przejęciem nakrywał do stołu. Wyjął z szafy stary zniszczony obrus i z wielką starannością rozesał go na stole. Widocznie szło mu o ukrycie dziur w obrusie, gdyż długo kiwał głową, zanim rozłożył go w ten sposób, że mało były widoczne. Przecierał talerze, szklanki i łyżki z taką pilnością, o jaką trudno było podejrzewać „wolnego obywatela“. Ustawił solniczkę z jednej, pieprz z drugiej strony. Z zadowoleniem przyjrzał się swemu arcydziełu, w końcu wytarł bluzą najlepsze krzesło, pomięszał zupeł w kociolku i powoli wyniósł się z pokoju.

Wszystkie te przygotowania zajmowały Małgorzatę ogromnie. Wiedziała, kto zamówił kolację i z rozkoshą patrzyła na krzesło, które wkrótce będzie zajęte. Wątpić też nie mogła, że potężna pięść wysokiego Anglika na równi z jego kieską wpływała tak na staranne i pilne wysiłki gospodarza, ażeby uczynić gościowi posiłek jak najmiłszy.

Jest teraz samą, jeżeli teraz Percy przyjdzie, będą mogli mówić swobodnie. Z jakąż radością zbiegnie ku niemu po tych drewnianych schodkach, powie mu wszystko, przestrzeże, a potem? Potem powie mu, że go kocha, że umrzeć za niego gotowa i poprosi go o przebaczenie... Może przycisnie ją wtedy do swego serca. Wtedy, jakże będzie szczęśliwą. Nie będzie go zatrzymywać. To zresztą byłoby daremne. On nie odstąpi

sprawy, a ona usunęła się i nie będzie mu przeszkadzać. Pójdzie, gdzie on każe i w ukryciu, w śmiertelnej trwodze, będzie oczekiwać wyniku tej walki na śmierć i życie. Będzie spokojną do ostatka, zbrojna jego miłością i przebaczeniem...

Przeczulony jej słuch pochwycił daleki odgłos zbliżających się kroków. Serce jej uderzyło radośnie.

Nareszcie Percy? Ale nie, jego krok jest pewny, śmiały. A to idzie dwóch ludzi. Tak idą może napić się czego, albo...

Nie było czasu na dalsze przypuszczenia. Wołano za drzwiami i w chwilę później rozwarło drzwi gwałtownie i ostry, rozkazujący głos zawołał:

— Hej! Obywatelu Brogard! Hola!

Usłyszała człapiące kroki Brogarda. Szedł, pomrukując swoje klątwy.

Raptem zatrzymał się na środku izby w miejscu, skąd go widzieć mogła i z pogardą wyjątkową popatrzył na swoich gości, mrucząc półgłosem — „Sacre soutanel“ (Przeklęta sutanna).

Jeden z przybyłych postąpił naprzód i Małgorzata ujrzała człowieka w sutannie, w czarnym szerokoskrzydłym kapeluszu i w trzewikach z klamrami, jakie noszą francuscy księża. Zbliżywszy się, rozsunął na piersiach sutannę i pokazał gospodarzowi urzędową szarfę trójkolorową, odznakę tajnej policji.

Widok ten zmienił w jednej chwili zuchwałego Brogarda w skulonego, pokornego staruszka.

Małgorzata wpatrywała się rozszerzonymi żrenicami w białe, kościste ręce i twarz, kapeluszem przysłoniętą człowieka, stojącego na środku izby. Tak, to Chauvelin! Co za zawód! Co za cios! Zdawało się jej, że zemdleje; nadludzkim wysiłkiem opanowała przerażenie, ażeby nie paść bez zmysłów.

Talerz zupy i butelka wina! — powiedział rozkazująco Chauvelin. — A potem wynoś się, rozumiesz? Chcę być sam!

Bez zwykłych przekleństw już tym razem, Brogard podawał do stołu, przy którym zasiadł Chauvelin. Drugie indywiduum było niewidzialne. Małgorzata domyślała się, że widocznie z szacunku dla zwierzchnika stoi pokornie przy drzwiach.



Na rapłowy znak Chauvelina, gospodarz zniknął za drzwiami a stojący u progu został przywołany do stołu. Poznała Desgasa, sekretarza i zaufanego Chauvelina, znanego jej jeszcze z Paryża.

Desgas obejrzał pokój i chwilę zatrzymał się przed drzwiami, przez które wyszedł Brogard.

— Nie podsłuchują? — spytał Chauvelin krótko.

—Nie, obywatelu!

Na sekundę straszna obawa sparaliżowała prawie Małgorzatę. A nuż zechcą przeszukać jej schronienie. Na szczęście, Chauvelin chciał pilnie o coś pytać Desgasa i zapomniał o szpiczach.

— Angielski masztowiec? — zapytał.

— Straciliśmy go z oczu o zachodzie! — odpowiedział Desgas. — Płynął na wschód, do przylądka Griz-Nez.

— Tak! Dobrze! —mruknął Chauvelin. — A co mówił kapitan Jutley?

— Zapewnił, że wszystkie rozkazy wykonał dokładnie, wszystkie drogą patrolowane są dniem i nocą a brzegi i skały przeszukiwane i strzeżone.

— Czy wie, gdzie jest chata ojca Blanchard?

— Nie, obywatelu! Zdaje mi się, że tu tej nazwy nie znają. Naturalnie wzdłuż wybrzeża wiele jest chat rybackich... ale...

— Dosyć! Wracaj zaraz do kapitana Jutley. Powiedz mu, niech wyśle posiłki do każdego patrolu i strzeże zwłaszcza wybrzeże, rozumiesz?

Chauvelin mówił zwięźle i ostro, każde słowo jego dzwieczało w uszach Małgorzaty jak dzwon żegnanych nadziei.

— Ludzie nasi — ciągnął dalej — mają zwracać baczność uwagę na każdego obcego, który jechałby lub szedł drogą z wybrzeża, głównie zaś na wysokiego Anglika. Nie będę go opisywał, bo jest z pewnością w przebraniu, ale wzrostu ukryć nie może, chyba kulejąc. Rozumiesz?

— Zrozumiałem.

— Dobrze! Idź zaraz do Jutleya. Roześlijcie posiłki



a sześciu ludzi przyprowadźcie tutaj. Za dziesięć minuł macie tu być.

Desgas uklonił się wyszedł.

Polecenia, wydawane przez Chauvelina, wykazywały jasno, że plan, powzięty przez niego, ma na celu pozostawienie przedsiębiorczemu śmiałkowi względnej swobody, ażeby móc go przychwycić na gorącym uczynku, to jest w chwili, gdy będzie uprowadzał rojalistów. Wtedy dopiero mają go schwytać i nawet rząd angielski bronić go wtedy nie będzie miał prawa. Pomagając do ucieczki rojalistom, a więc wrogom rewolucji, zasługuje na słuszną zemstę rządu rewolucyjnego. Złapią wszystkich starannie rozstawione na wybrzeżu patrole! Żadna ostrożność ani dowcipny fortel nie pomogą!

Chauvelin przywołał jeszcze raz Desgasa już z za drzwi.

— Byłbym zapomniał o rzeczy najważniejszej... — tu oczy jego zaświeciły błyskiem nienawiści. — Słuchaj, obywatelu, ten wysoki cudzoziemiec będzie się bronił niezawodnie. Pamiętaj, zabraniam strzelać, chyba w ostatecznym razie. Chcę go mieć żywym... jeśli to możliwe.

Zaśmiał się sucho.

Ten śmiech szatański przy sukni duchownego, ten straszny wyraz oczu przerażał Małgorzatę. Czuła, że opuszczają ją siły i przytomność umysłu. A więc ani tamci, ani Percy nie potrafią się wymknąć z śmiertelnej zasadzki. A ona, pośrednia sprawczyni tego całego nieszczęścia, musi patrzeć na rozgrywający się prawie na jej oczach dramat.

Umrzeć by za niego rada i teraz już tylko tego pragnie, by mogła umrzeć przy jego boku. Gdybyż choć chwilę czasu wtedy miała! Małą chwilę, by mu powiedzieć, jak gorąco go kocha!

Tymczasem Chauvelin zdjął wielki kapelusz i zacierał kościste, do szpon ptasich podobne ręce, po czym zabrał się z apetytem do zupy Brogarda.

Ze swego punktu obserwacyjnego widziała Małgorzata ostry, pochylony profil i szpiczastą brodę. Skąd się bierze

taką złość, taką szatańską zjadłość, ażeby jeden człowiek tak zawzięcie ścigał drugiego i tak pragnął nie tylko pozbawić go życia, ale jeszcze przedtem dogodzić swej chęci zemsty. Bo tylko dlatego kazał go brać koniecznie żywego.

Wśród tych bolesnych rozmyślań doszedł ją z dworu głos oddalony. W jednej chwili serce jej skamieniało.

Wesoło, z zapalem śpiewał młody męski głos: „God save the King“ — hymn narodowy Anglików.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### ORZEL I LIS.

Słuch jej nie zawiódł, to mąż jej śpiewał.

Oczywiście poznał go i Chauvelin, bo spojrział z przerażeniem na drzwi i pośpiesznie nakrył głowę kapeluszem.

Głos zbliżał się, za chwilę tu będzie.

Dzika, szalona chęć opanowała Małgorzatę. Chciała zbiec ze schodów i krzyknąć mu co siły: „Uciekaj!”

Na szczęście przypomniała sobie dane lordowi Tfoulkesowi słowo, że będzie ostrożną i nie nie robi w pierwszym impulsie. Przecież zdradziwszy się, oddałaby go wprost w ręce wroga. Wątpić nie można, że oberża obstawiona jest strażą.

*Niech długo panuje nad nami!*

*Boże zbaw nam króla!*

Śpiewał wesoły głos.

Nagle drzwi z impetem otwarto i na kilka sekund zapanało śmiertelne milczenie.

Nie mogła dojrzeć drzwi; z powstrzymanym oddechem czekała, co się teraz stanie.

Wahanie przybyłego na widok księdza trwało może pięć sekund i wreszcie zobaczyła wysoką postać swego męża, który śmiało przeszedł przez izbę, wołając głośno:

— Hola! Cóż to, nie ma tu nikogo? Gdzież ten dureń Brogard?

W stroju do konnej jazdy, tym samym, w którym pożegnał Małgorzatę w Richmondzie, niezrównanej białości żabotach, z pięknie uczesanymi blond włosami i szkiełkiem, które z przesadą trzymał w białej ręce, wyglądał jakby co najmniej wybierał się na jakiś spacer z księciem Walii. Trudno w nim



było poznać człowieka, który z zimną krwią wpadł w śmiertelną pupalkę.

Gdy tak stał na środku izby, wesół, własnego niebezpieczeństwa nieświadomy, omal że nie krzyknęła:

— Uciekaj, Percy! To twój wróg śmiertelny! Uciekaj, nim będzie zapóźno.

Ale nie było na to czasu. Blackeney zbliżył się do stołu i klepiąc poufale po ramieniu księdza, powiedział swoim ciągnącym, nosowym głosem:

— Patrzajcie, ludzie!... Pan Chauvelin... Przysięgam, zem go tu spotkać nie myślał.

Chauvelin poczerwieniał. Chwila, w której zupełnie przeżył oraz wielkie zdziwienie, jakiego doznał na widok zuchwalstwa swego przeciwnika, wywołały długi konsultacyjny kaszel. I w ten sposób reprezentant Francji ocalił swój honor, gdyż to nie zdziwienie, lecz strach i przerażenie opanowały go w pierwszej chwili. Wiedział, że żołnierze jego są w tej chwili daleko, że jest sam na łasce tego olbrzyma, który widocznie skorzystał z wolnego przejścia, by się tu dostać, i już ma prawdopodobnie w zanadru gotowy projekt do wymknięcia się. Był wściekły...

Sir Andrew wymógł na Małgorzacie słowo, że nie odezwie się do męża przy obcych, ani nawet swojej obecności nie zdradzi, całą siłą woli powtarzała to sobie. Położenie było rozpaczliwe. Za chwilę przyjdzie Desgas z żołnierzami. Jeżeli jednak Percy opuści oberżę „Chat Gris“ (Siwego kota), to gdziekolwiek się zwróci, pochwycą go żołnierze francuscy, gęsto wzdłuż drogi rozstawieni. To też siedzieć tu i oczekiwać wypadków spokojnie było dla niej męką prawie ponad jej siły.

Groźny olbrzym tymczasem z dobrodusznym uśmiechem patrzył na zanoszącego się od kaszlu Chauvelina.

— Jakże mi przykro... — mówił uprzejmie. — Niezmiernie mi przykro... Zdaje się, że przeraziłem pana... przy zupie... Szkaradna to rzecz takie zachłyśnięcie... Jeden z moich przyjaciół umarł z takiego zadławienia się... pełną łyżką zupy.

I uśmiechnął się nieśmiało, z uprzejmym wyrazem oczu patrząc na kaszłącego Chauvelina.

— Ciężkie życie! — ciągnął, spostrzegłszy, że kaszel wreszcie mija. — Niemożliwa dziura... Nie znajduje pan tego? Czy mogę prosić o pozwolenie? — mówił, siadając i przysuwając miskę z zupą. — Ten dureń Brogard zasnął, czy co?

Wziął drugi talerz ze stołu, nabrał do niego zupy oraz czarbkę wina z obok stojącej flaszki.

Przez chwilę Małgorzata zastanawiała się, co teraz pocnie Chauvelin. Ucharakteryzowany był tak dobrze, że mógł właściwie udawać kogo innego. Widocznie jednak obawiał się grać komedię. Wyciągnął rękę na powitanie i przemówił żartobliwie:

— Zachwycony jestem, widząc pana, lordzie Blackenay. Zdziwienie moje, przyznaję, było wielkie. Mniemałem, że pan przebywa po tamtej stronie kanału.

— O tak! Zdziwił się pan, panie... ee... Chambertin...

— Przepraszam, Chauvelin.

— Oh! tak, przepraszam po tysiąc razy. Chauvelin, naturalnie... ee... nigdy nie umiem zapamiętać obcych nazwisk...

Zajadał ze smakiem zupę... i wyglądał tak spokojnie, jakby umyślnie po to do Calais przyjechał.

Małgorzata dziwiła się, czemu nie powali jednym uderzeniem tego arcywroga. Musiało coś podobnego plątać się także i po głowie Percy'ego, gdyż leniwe, współprzymknięte oczy, rzucały chwilami złowrózbne błyski, gdy patrzył na małą nędzną figurkę, która też oddawała się z determinacją pochłanianiu zupy. Ale bystry umysł, który przez tyle przygód wiódł go szczęśliwie, nie pozwolił mu na ten czyn nierozważny. Percy wiedział, że wioska obsadzona jest żołnierzami, że szpieg jaki, albo i sam oberżysta, który wydawał się oddany rewolucji, w tej chwili mógłby go kazać uwięzić. Nie wolno mu poświęcać tamtych towarzyszy, którzy oczekują jego ratunku, dla marnej satysfakcji zgniecenia jednego łotra.

Więc jedząc i pogadując, rozmyślał nad jakimś sposobem, ażeby się wydobyć z tej matni.



A na górze Małgorzata łamała ręce w śmiertelnej rozpacz, gryząc chustkę zębami, ażeby powstrzymać się od krzyknienia.

— Nie wiedziałem, — mówił Blackeney swobodnie — że pan należysz... ee... do stanu duchownego...

— Ja... to jest... hm... — jękał się Chauvelin, kompletnie zbity z tropu śmiałością i beczelnością swego przeciwnika.

— Ale, oh! Pana poznałbym zawsze i wszędzie, — mówił sir Percy, nalewając sobie znów wina — chociaż peruka i kapelusz trochę wygląd pana zmieniły.

— Tak pan myśli?

— Ma się rozumieć! Zmieniają człowieka... ale... prawda! Przecież pan mi za złe nie weźmie, że zwróciłem na to uwagę?... To przeklęty mój zwyczaj... wiem, że to niegrzecznie tak zwracać uwagę... Mam nadzieję, że pana tym nie rozgniewałem?

— Nie, zupełnie. . Przeciwnie!... A jak się miewa lady Blackeney? — powiedział szybko Chauvelin, chcąc zmienić temat rozmowy.

Blackeney z rozmysłem zjadł swój talerz zupy, popił winem i zdawało się Małgorzacie, że rzucił okiem dokoła pokoju.

— Całkiem dobrze, dziękuję! — odpowiedział w końcu suchym głosem.

Zapanowało milczenie, w czasie którego Małgorzata miała wrażenie, że ci dwaj przeciwnicy mierzą wzajemnie swe siły.

Ze swego miejsca widziała teraz dokładnie twarz męża. Patrząc na niego, dopiero teraz zrozumiała, że wszelkie jej wysiłki, aby go przestrzec, niczym są wobec spokoju, siły moralnej i łatwości, z jaką umiał on grać raz narzuconą sobie rolę. Pojęła teraz, że przy najlepszej chęci mogłaby tylko przeszkodzić mu w pomyślnym przeprowadzeniu całej tej przygody, co do której była już pewna, że Percy ma plan z góry ułożony.

Nie mogła sobie odmówić przyjemności podziwiania ukochanego człowieka. Przedarta w kilku miejscach firanka, ułatwiała jej obserwację.

— Jest nas dziewiętnastu i wszyscy życie za niego oddać jesteśmy gotowi! — mówił jej przecież sir Andrew.



Patrząc teraz na to szerokie czoło, głęboko osadzone niebieskie oczy, ten cały wygląd człowieka, zdradzający nieokiełznaną energię, silną wolę, genialną przytomność i bystrość, rozumiała urok, jaki wywierał na swych towarzyszy. Wszakże i jej serce i umysł były nim oczarowane.

Chauvelin, który starał się wszelkimi siłami zataić swą niecierpliwość, rzucił okiem na zegarek. Desgas długo bawić nie będzie, jeszcze dwie, trzy minuty, a ten bezczelny Anglik będzie miał troskliwą opiekę w osobie kapitana Jutley i pół tuzina najwierniejszych i najmocniejszych ludzi.

— Jedzie pan do Paryża, sir Percy? — zapytał niedbale.

— Ciężkie życie! Niel — odpowiedział Blackeney, śmiejąc się. — Dojadę tylko do Lille. Nie, Paryż nie dla mnie... diabelnie niewygodne miejsce teraz Paryż... Eh, panie Chambertin..., przepraszam Chauvelin!

— Ale przecież nie dla angielskiego szlachcica jak pan! — odpowiedział ironicznie Chauvelin. — Pan przecież nie interesuje się rewolucją i zamieszkami tutejszymi.

— No! Nic mi do tego w każdym razie, a nasz przeklęty rząd jest po waszej stronie. Stary Pitt nikomu sprzeciwić się nie potrafi... Pan się spieszy? — dodał, widząc, że Chauvelin po raz drugi wyciągnął zegarek. — Jakieś umówione spotkanie może... Proszę nie zważać na mnie... mnie się nie spieszy

Wstał od stołu i przysunął krzesło do ognia.

I znów Małgorzatę ogarnęła pokusa, żeby go przestrzec. Lada chwila może nadejść Desgas ze swymi ludźmi. Percy ani się tego domyśla. Oh, jakie to straszne! Jakże bezradną była...

— Nie spieszę się, — mówił lord Percy wesoło — chociaż co prawda nie mam ochoty długo siedzieć w tej obskurnej dziurze! Ale, ale! paniel — dodał, widząc, że Chauvelin po raz trzeci ukradkiem spojrzał na zegarek. — Ten pański zegarek nie pójdzie prędzej, żebyś pan nie wiem ile razy spoglądał nań. Oczekujesz pan tu zapewne przyjaciela?

— Tak, przyjaciela!...

— Nie przyjaciółki, mam nadzieję, księżu dobrodzieju? — zaśmiał się Blackeney czyniąc aluzję do przebrania Chauvelina

— strój pański na to nie pozwala?... Eh?... Co? A ja radzę przysunąć się pan do ognia... Robi się zimno...

Poprawił butem ogień. Wyglądał jakby mu się wcale nie spieszyło, jakby zupełnie nieświadomy był grożącego mu lada chwila niebezpieczeństwa.

Przyciągnął drugie krzesło do kominka, a Chauvelin, który nie umiał już ukryć niepokoju, siadł na nim, zwrócony twarzą do drzwi wejściowych. Desgas nie zjawiał się, mimo że kwadrans już minął od jego odejścia.

Małgorzata odgadywała, że w obecnym stanie Chauvelin znecierpliwiony i zdenerwowany każe uwięzić natychmiast jej męża, nie czekając na pochwylenie tamtych.

— No, panie Chauvelin! — mówił swobodnie lord Percy. — Powiedz proszę, czy ładna jest ta twoja przyjaciółka? Bywają Francuzeczki śliczniutkie czasem, co? Ale prawda, może nie powinienem pytać o to. — dodał przystępując do stołu. — Pan pewno chce być gentlemanem i milczeć... Eh!.

— Ale Chauvelin nie słuchał jego docinków i całą uwagę skupił na drzwiach. Nie spuszczała z nich też oka biedna Małgorzata, której słuch schwytał już dochodzący zdala stuk kilkunastu ciężko obutych nóg.

To był Desgas ze swoimi ludźmi. Za trzy minuty będą tu. Za trzy minuty stanie się coś strasznego. Coś, od czego krew stygła jej w żyłach. Odważny orzeł wpadnie w sieci sprawców. Byłaby wyskoczyła z kryjówki i krzyczała z całej siły, coś ją jednak przykuwało do miejsca. Nie spuszczała wzroku z męża, który ciągle gawędził, nie oczekując nawet odpowiedzi od przygotowującego się jakby do skoku Chauvelina. Widziała, że Percy manewrował coś przy nakrytym jeszcze stole, odwrócony plecami do agenta. Wyjął tabakierkę z kieszeni i wysypał w nią coś ze stołu. Potem zwrócił się błazeńskim swym uśmiechem do Chauvelina.

— Eh! Przepraszam! Czy pan co mówił?

Ale Chauvelin tak był wsłuchany w zbliżające się kroki, że musiał całą siłą woli zebrać umysł, ażeby udąć obojętnego.

— Nie... — odpowiedział szybko. — To jest, co to pan mówił?... sir Percy?...



«— Mówiłem, — powiedział Blackeney, podchodząc ku niemu — że nigdy jeszcze pewien żyd z Picadilly nie sprzedał mi tak dobrej tabaki, jak tym razem. Chcesz mnie uradować, skosztuj, księże dobrodzieju!

Stał przy nim z swą prostoduszną miną, podając tabakierkę.

Chauvelin znał różne sztuki w życiu i niełatwo było go wyprowadzić w pole... Ale w tej chwili nasłuchiwał kroków eskorty Desgasa, czekał i patrzył, kiedy ukaże się on w drzwiach... Uspokojony zachowaniem się Blackeneya, który tak swobodnie rozmawiał z nim i kręcił się po pokoju, nie miał możności domyśleć się, że ten człowiek, którego miał w pułapce, postanowił zadrwić z niego.

Wziął okazałą szczypkę tabaki...

Kto kiedykolwiek wciągnął w nozdrza nosa miałko utłuczony pieprz, ten zrozumie stan, w jaki wpadł Chauvelin.

Ogłuchł w jednej chwili, kichnięcie po kichnięciu rozsadzało mu głowę, oczy wychodziły z oprawy. W oka mgnienia stał się głuchy, ślepy i nieprzytomny...

Tymczasem Blackeney pochwycił kapelusz, wysypał z kieszeni trochę drobnych pieniędzy na stół i spokojnym krokiem wyszedł z obojętności.

---



## ROZDZIAŁ X.

### YD.

Oczekiwany Desgas był jeszcze o jakieś sto kroków od oberży.

Małgorzata z trudnością zorientowała się, co się właściwie stało. Radość i podziw dla zręcznego sposobu, którego użył genialny ten człowiek, wzbudziły w niej ufność i nadzieję.

Chauvelin był w smutnym stanie, byłby pewnie wołał dostać pięścią w głowę, niż nie mogąc mówić, widzieć, ani słyszeć, być świadkiem tryumfu przeciwnika, który wysunął się swobodnie z zasadzki.

Ale cóż z tego? Drogi, ścieżki i przesmyki obsadzone są przecież strażami. Jakim cudem przemknie się przez nie młody Anglik? A przecież musi się udać do chaty ojca Blacharda.

Na chwilę tylko zdołał umknąć Desgasowi i jego żołnierzom, — w swym pięknym stroju zwróci napewno ich uwagę i śledzić go będą bez trudu.

Zaczęła już rozpaczać, że prędejj nie zdobyła się na odwagę, żeby zbiegnąć na dół i powiedzieć mu o zamiarach Chauvelina.

— Stój! — doszła ją z dworu komenda Desgasa i kroki ustały, a wraz z nimi i pobrzęk broni.

Chauvelin zaczynał zwolna przychodzić do siebie. Zerwał się wreszcie i poszedł ku drzwiom, gdy usłyszał pukanie Desgasa.

Rozwarł drzwi i wykrztusił wśród kichania:

— Wysoki cudzoziemiec... Prędko!... Widział go który?... Prędko!...

— Gdzie obywatelu? — pytał zdziwiony Desgas.

— Tu, człowieku... przez te drzwi wyszedł... niema nawet pięciu minut.

— Nic nie widzieliśmy, księżycu jeszcze niema i jest zupełnie ciemno...

— I o pięć minut przyszlście za późno! — krzyczał w pasji Chauvelin. — Mielście rozkaz wyraźny, trzeba się było śpieszyć. Na szczęście — nic straconego, inaczej żleby ci to wróżyło, obywatelu Desgas.

Desgas zbladł, tyle było pasji i nienawiści w słowach przełożonego.

— Więc ten wysoki cudzoziemiec, obywatelu... — jękał powoli.

— Był tu przed pięciu minutami i... tu przy tym stole jadł ze mną kolację... Co za bezczelność! Brogard to głupiec i tchórz, a ja sam porywać się nań nie mogłem... Ten przeklęty Anglik mocny jest jak tur i tak... z przed nosa nam się wymknął...

Z pewnością daleko nie zajdzie...

— Powiadasz? — zapytał Chauvelin.

— Kapitan Jutley dostał czterdziestu ludzi posiłku, oprócz patroli. Wszystkie drogi zostały dokładnie obsadzone, a płynąć też nie może, bo nim dojdzie do łodzi, to go ze skał wysłedzą.

— To dobrze! A co to za ludzie ci wartownicy?... Pewni?..

— Otrzymali wyraźne rozkazy. Sam mówiłem z nimi. Mają iść krok w krok potajemnie za każdym dostrzeżonym cudzoziemcem, a zwłaszcza za wysokiego wzrostu albo kulejącym.

— W każdym wypadku nie zatrzymywać go. — dodał Chauvelin. — Ten bezczelny Anyż wymknie się jeszcze takim niezgrabiaszom. Wpuścimy go do chaty Blacharda, tam otoczemy ze wszystkich stron i uwięzimy.

— Wszystko zrozumieli dokładnie, obywatelu i to też mają nakazane; skoro tylko będą na tropie wysokiego cudzoziemca, pójda za nim a jednego z pośród siebie wyślą z raportem do ciebie.

— Dobrze! — rzekł Chauvelin, zacierając ręce.

— Mamy jeszcze coś ciekawego dla ciebie, obywatelu.

— Cóż takiego?



— Jakiś wysoki Anglik rozmawiał przed trzema kwadransami z pewnym żydem; nazywa się on Reuben i mieszka stąd o kilkadziesiąt kroków.

— No i co? — pytał Chauvelin niecierpliwie.

— Rozmowa była o koniu i wózku. Anglik chciał je wynająć, zamawiał na jedenastą godzinę.

— Już po jedenastej... Gdzież ten Reuben mieszka?...

— O parę minut drogi stąd.

— Wyślij natychmiast jednego z ludzi, żeby się wypytał, czy Anglik już pojechał tym wózkiem Reubena

— Dobrze, obywatelu!

Desgas wyszedł, aby wydać odpowiedni rozkaz.

Każde słowo całej tej rozmowy słyszała wyraźnie Małgorzata i serce jej ścisnęło się smutnymi przewidywaniami. I cóż pomogło, że tu przybyła? Nawet widzieć go nie może i nie będzie wiedziała, kiedy go pochwyca. Ostatnią nicią nadziei, której się chwyciła, był widok Chauvelina, który zirytowany, niecierpliwie chodził po pokoju. Widocznie ostatnia przygoda uczyniła go mniej pewnym siebie i niespokojnym. Stracił nadzieję łatwego zwycięstwa nad zręcznym Anyżem.

I jeszcze jedna myśl dodawała odwagi Małgorzacie; że tak długo, jak przygląda się tu Chauvelinowi los jej męża nie jest jeszcze stracony.

Po pięciu minutach wrócił Desgas, a za nim wsunął się cicho do izby starszy już żyd w brudnym, wyświechtanym chałacie. Ryże włosy, dobrze posiwiałe, skręcone były w pejsy nad uszami. Szary kolor twarzy i rąk odpychał wprost wrażeniem brudu i zaniedbania. Człapiący, skradający się chód, dowodził pochodzenia tego człowieka z tej rasy, którą pogarda i poniżenie tyłowiekowe uczyniło pokorną i uniżoną mimo wrodzonej chytrości.

Chauvelin dał mu znak, aby się trzymał z daleka. Podzielał on odrazę swego narodu do tych ludzi.

Wszyscy trzech stali w kręgu światła lampy olejowej tak, że i Małgorzata widziała ich dokładnie.

— Czy to ten? — spytał Chauvelin.



— Nie, obywatelu! — odpowiedział Desgās. — Reubena napróżno szukali wszędzie. Zdaje się, że pojechał on razem ze swoim wózkiem i tym cudzoziemcem. Wydaje mi się, że ten coś o tym wie, więc może za wynagrodzeniem wydobędziemy jakąś wiadomość od niego.

— Aha! — zawołał Chauvelin, odwracając się z obrzydzeniem od wstrętnej postaci żyda.

Żyd z wrodzoną cierpliwością stał w miejscu, nie odzywając się. Wsparł ręce na grubym, sękatym kiju, głowę nakrył dużym czarnym kapeluszem i milczał, czekając na zapytanie jego ekscelencji.

— A więc obywatel twierdzi, — przemówił wreszcie do niego Chauvelin — że wie coś o moim przyjacielu, wysokim Angliku, którego chcę koniecznie spotkać?... Ale trzymaj się z daleka! — dokończył, widząc, że żyd pośpiesznie wystąpił naprzód.

— Tak jest, wasza ekscelencjo! — odpowiedział żyd z wschodnim szepleniącym akcentem. — Ja i Reuben spotkałiśmy tego wielkiego Anglika na drodze, tutaj w pobliżu tego wieczoru.

— Czy mówiłeś coś do niego?

— To un do nas mówił, wasza ekscelencjo. Un pytał, czy może nająć wózek i kunia na drogę do St. Martin, do jednego miejsca, gdzie potrzebował jechać zaraz tej nocy.

— Cóżś mu odpowiedział?

— Ja? Ja mu nic nie powiedział... — powiedział żyd jakby ze skargą. — To Reuben, ten przekłety zdrajca, ten syn Beliala, bodaj jemu...

— Nie plec, Reuben nic mnie nie obchodzi, mów, o co pytam.

— Ale kiedy ten Reuben to un mi słowa z ust wyjął, wasza ekscelencjo. To ja chciałem się umówić z tym bogatym Anglikiem, a un, ten oszust, za prędko mu proponował swoją kulawą szkapę i swój połamany wózek. Czy ekscelencja widział jego wózek? To jest rudera a nie wózek...

— I cóż Anglik zrobił?

— Co un zrobił, un posłuchał Reubena i wsadził rękę do kieszeni i pokazał temu synowi Belzebuba dużo złota i powie

dział, że dostanie wszystko, jak mu przyprowadzi kunia i wózek na jedenastą godzinę w nocy.

— No i Reuben naturalnie przyprowadził.

— Tak, panie ekscelencjo. Reuben na razie przyprowadził... Ale szkap Reubena kulawa z początku iść nie chciała. Dopiero jak ją długo bił i popychał, to jakoś poszła... — mówił żyd z nietajonym tryumfem.

— Więc pojechał w końcu?

— Uj pojechali, ale jak pojechali. I to ma być bogaty Anglik... Un powinien wiedzieć, że szkap Reubena nie jest do jechania...

— Cóż miał robić, jak nie było wyboru!

— Co to nie było wyboru? Kto powiedział, wasza ekscelencjo? — protestował żyd gardlanym, krzykliwym głosem. — Mało ja mu ze dwadzieścia razy powiedział, że mój kuń go prędzej zawiezie. Ale un nie chciał słuchać, tak go ten Reuben, ten łajdak namawiał, no i oszukał go. Jeżeli się ten cudzy pan spieszył, to jemu trzeba było siadać na mój wóz, a nie na Reubena.

— To ty masz także wóz i konia? — spytał Chauvelin.

— Aj! Pan ekscelencja się pyta, pan ekscelencja nie wie i jakiego kunia... Jakby ekscelencja potrzebowała gdzie jechać...

— A wiesz, jaką drogą tamci pojechali?

Żyd tarł podbródek z namysłem. Małgorzacie wydało się w tej chwili, że los Percy'ego spoczywa w tych brudnych chudych rękach.

Po dobrym momencie Żyd sięgnął ręką do kieszeni na pierśsiach i wyjął garść srebrnej monety.

— Ot, co odjeżdżając, dał mnie un za to, — mówił żyd spokojnym głosem — żebym nie nie mówił, co on z sobą zrobił.

Chauvelin wzruszył ramionami ze złością.

— Wieleż tam dostał? — zapytał.

— Dwadzieścia franków un dał, a ja zawsze byłem rzetelnym człowiekiem, panie ekscelencjo.

Chauvelin wyjął kilka szluk złota z kieszeni i pobrzakiwał nimi na dłoni.



— Jak myślisz, wiele jest tutaj? — zapytał.

Oczy żyda rzuciły szybkie, bystre spojrzenie.

— Co najmniej powiedziałbym pięć dukatów wasza ekscelencjo. — odpowiedział przymilnie.

— Czy to dosyć, byś puścił wodze swemu językowi?

— A co wasza ekscelencja życzy sobie wiedzieć?

— Czy możesz mnie zawieźć tam, gdzie udał się mój przyjaciel, ten wielki Anglik, który pojechał z Reubenem?

— Mój kuń i wózek dowiozą ekscelencję do każdego miejsca, gdzie tylko będzie potrzeba pojechać.

— Do tego miejsca, co się nazywa chata Ojca Blanchard?

— Wasza ekscelencja już odgadła? — zapytał zdziwiony żyd.

— A znasz to miejsce i drogę do niego.

— To jest na drodze St. Martin kole skał.

— Znasz drogę dokładnie? — zapytał ostro Chauvelin.

— Czy ja znam? Ja znam każdy kamień, każdą dziedziczkę trawy na tej drodze. — odpowiedział żyd powoli.

Nie mówiąc więcej, rzucił Chauvelin pięć sztuk złota na ziemię, odliczając jedną po drugiej. Żyd zbierał chciwie i zajrzał pod komodę, gdzie się jedna przypadkiem potoczyła. Dopiero gdy się wyprostował, zapytał go Chauvelin:

— Jak prędko będziesz gotów z wózkiem?

— Ja już teraz jestem gotów, proszę waszej ekscelencji.

— Gdzie?

— Tu o kilka kroków. Czy wasza ekscelencja zechce popatrzeć?

— Nie potrzebuję patrzeć. Jak daleko pojedziesz?

— Do chaty ojca Blanchard, wasza ekscelencjo i jeszcze dalej, dalej niż może zajechać szkapo Reubena z przyjacielem ekscelencji. My jeszcze po drodze napotkamy tego parszywego Reubena, jego szkapę, wózek i tego wielkiego Anglika, bo wszystko to będzie leżeć na kupie na środku drogi..

— Jak daleko stąd najbliższa wioska?

— Na tej drodze, co nią Anglik pojechał, wioska Miquelon jest najbliżej, będzie ze dwie mile stąd.



— To on tam mógł znaleźć inną podwodę, jeśli chciał dalej jechać.

— Un mógł, ale jemu trzeba było tam dojechać.

— A ty dojedziesz?

— Niech wasza ekscelencja spróbuje tylko. — odpowiedział żyd.

— Właśnie chcę spróbować. — powiedział Chauvelin. — Ale pamiętaj, jeśli oszukujesz mnie, każę dwum najmocniejszym żołnierzom wychłostać cię tak, że ci dusza z paskudnego ciała wyleci. Jeśli jednak złapiemy Anglika na drodze, czy tam w tej chacie, dostaniesz więcej dukatów. Zgoda?

Żyd podumał drobną chwilę. Popatrzył na pieniądze, na Chauvelin i Desgasa, poskrobał się w brodę, w końcu rzekł rezolutnie:

— Zgadzam się!

— No to wyjdź i czekaj na dworze. Ale powtarzam ci, dotrzymaj umowy, to ja też słowa dotrzymam.

W pokornym niskim ukłonie wysunął się żyd za drzwi. Chauvelin, kontent z układu, zacierał ręce z złośliwym zadowoleniem.

— Mój surdut i buty! — rzucił rozkaz Desgasowi.

Zrzucił sutannę i powoli zaczął się przebierać. W trakcie tego ukazał się żołnierz z resztą ubrania. Desgas stał pokornie przy drzwiach.

— Jak wyjedziemy, — zwrócił się Chauvelin do Desgasa — udaj się zaraz do Jutleya, niech ci da dwunastu ludzi i jedźcie natychmiast drogą na Miquelon. Albo mnie tam spotkacie, albo Anglika. Ja w każdym razie prosto stąd jadę do chaty ojca Blachard, widzę bowiem, że ten bezczelny Anglik trzyma się pierwotnego planu. Tam ma się spotkać z Tournayem, St. Justem i innymi. Ciepło tam będzie. Wpadniemy do desperatów, którzy bronić się będą zajadle. Rojaliści dobrze umieją się bić, a ten Anglik jest bardzo mocny. Chociaż możemy tam stracić trochę ludzi, mniejsza o to, zawsze będzie nas pięciu na jednego.

Wysłrośwszy się w końcu w swe zwykłe ubranie, wziął za kapelusz i ujął poufale pod ramię Desgasa.

— Ciekawego ptaszka dostarczę wam, obywatelu. Chata ojca Blanchard stoi pewnie gdzieś na ustroniu... Będzie to zajmujące polowanie... Ale, jeszcze raz przypominam, nie zabijać mi go. Wybierz ludzi zdolnych, którzy potrafią zabawić się i użyć trochę rozkoszy. Niech pomęczą tego Anyża, niech się chwieje i drży ze strachu, a potem... — tu uczynił gest ręką koło szyi, na który patrząc, Małgorzata skamieniała z grozy i przerażenia. — Tylko dobrze wybierz ludzi! — zakończył, wychodząc razem z swym sekretarzem,

## ROZDZIAŁ XI.

### NA TROPIE.

Cisza załęga oberżę „Siwego kota“. Z dworu dochodził Małgorzatę głos komendy Desgasa i rozkazy, wydawane ludziom.

W parę minut później turkot zajeżdżającego wózka, cmokanie i nawoływanie konia do pośpiechu, wkońcu odjazd po nierównej drodze.

Oberż, sta Brogard przestraszony nie dawał znaku życia, chciał widocznie, aby o nim zapomniano, bo nawet pomrukiwane klątwy ustały zupełnie.

Chwilę czekała, potem zeszła cichutko i zarzuciwszy kaptur na głowę, opuściła oberżę.

Noc była prawie czarna. W swym ciemnym okryciu mogła ujść niepostrzeżona patrolującym strażom, zwłaszcza że krzaki przydrożne kryły ją zupełnie, a hałas wózka i podskoki kół na grudach wskazywały kierunek, w którym iść zamierzała. Ciężką podróż miała przed sobą, sama w nocy, pieszo prawie trzy mile do Miquelon a potem do tej chaty, gdziekolwiek ona była...

Nie zastanawiała się nad tym.

Na szczęście księżyc ani myślał się ukazać. Droga szła wzdłuż morza, wiatr chwiał niskimi krzakami i nadawał im czasami przerażający wygląd. Nogi ślizgały się po błotnistym zboczach drogi, jednakże mimo szumu morza turkot dochodził ją wyraźnie. Droga była zupełnie samotna, nigdzie ani ludzi, ani mieszkań, więc szła z trudem, ale bezpieczna, orzeźwiona świeżym powiewnym po tak długim pobycie w dusznej śmierdzącej oberżwi.



Myślała o mężu, o tym, gdzie oni mogli być w tej chwili? O kwadrans czasu wyprzedził Chauvelina. Czy się choć domyśla, wiele to rąk, pochwycić go gotowych, śpieszy za nim w tej chwili? Ile ocz wypatruje wysokiej jego postaci. A on dąży do przyjaciół, którzy ufni w jego zręczność, nawet nie przypuszczają niebezpieczeństwa, które nad nim zawisło.

Chauvelin wieziony przez żydka powoli i ostrożnie, zacierał ręce z radości. Dobrze rozstawił sieci, nakryje całe grono a głównego ptaszka przyłapie na gorącym uczynku. Oto najchwalebniejsza karta jego zasług dla ojczyzny będzie dziś zapisana.

Ani na chwilę żaden wyrzut sumienia nie poruszył jego sfanatyzowanej duszy. Nawet nie pomyślał o tym, że ją, biedną kobietę, podszedł zdradą i pogroźkami, że nieszczęśliwa przez całe życie dźwigać będzie winę zdrady i wyrzuty serdeczne, że zdradziła swego najukochańszego męża i własnymi rękami na śmierć skazała. Tę sprawę uważał jako rzecz naturalną: była użytecznym narzędziem, reszta go nie obchodziła.

Chudy koń żydowski biegł wolnym truchtem i parę już razy woźnica zatrzymywał się dla wypoczynku.

— Czy daleko do Miquelon? — pytał często Chauvelin.

— Już niedaleko, wasza ekscelencjo; Ino patrzeć! — brzmiała jednostajna odpowiedź.

— Ale jakoś nie widać na gościńcu leżącego konia, wózka i naszego przyjaciela, jakeś mi to obiecywał? — zapytał raz złośliwie Chauvelin.

— Cierpliwości, szlachetna Ekscelencjo! — odparł flegmatycznie żyd. — Uni jadą przed nami. Widzę ślady kół, które zostawia wózek tego zdrajcy, tego Amalekity...

— Czyś pewny drogi?

— Tak pewny, jak tego, że te pięć sztuk złota, które wasza ekscelencja ma w kieszeni będą wkrótce moje.

— Jak tylko powitam tego cudzoziemca, mego przyjaciela, rzeczywiście będą one twoje.

— Ojoj! A to co? — zawołał żyd przerażony.

Wśród ciszy nocnej dochodziły wyraźne uderzenia kopyt końskich.

— To jacyś żołnierze! — szepnął przerażony żyd.

— Stań, muszę z nimi pomówić! — powiedział Chauvelin.

Od strony Miquelon zbliżali się jeźdźcy. Był to patrol, który wykonywał dany rozkaz: „pilnować przejezdnych“. Czyżby już wysledzili kogo, bo dwóch podjechało jakby z raportem. Wózek stanął. Małgorzata zbliżyła się ostrożnie, idąc bokiem i trzymając się krzaków, prawie do wózka.

— Wolność, równość i braterstwo! — zabrzmiało zwykłe hasło.

— Co nowego? — zapytał Chauvelin.

Dwóch ludzi stanęło przy wózku. Widziała ich wyraźnie na ciemnym tle nieba. Równocześnie jednak usłyszała człapanie koni za sobą. Domyśliła się, że to Desgas z eskortą, wziętą od Jutleya, przebywa od strony Calais.

— Widzieliście cudzoziemca? — zapytał Chauvelin, pokazując im szarfę, jako dowód swej władzy.

— Nie, obywatelu, nie było wysokiego cudzoziemca; jeździmy od tych tam skał.

— No i cóż?

— Może w odległości ćwierć mili od Miquelon napolkałiśmy na budę z drzewa, taką, jak zwykle budują rybacy na swoje narzędzia. Z początku wydawała się pustą, nie zauważyliśmy nic podejrzanego koło niej, dopiero po chwili z bocznego otworu zobaczyliśmy wychodzący mały obłok dymu. Zsiadłem i zajrzałem przez szparę. Buda była pustą, tylko w kącie dymił rozłożony ogień i stało koło niego kilka krzeseł.

Poradziwszy się z towarzyszami, zostałem tam na warcie a oni ukryli się w pobliżu z końmi.

— Dobrze! Widzieliście co?

— W pół godziny później usłyszałem głośnie rozmowę a potem ścieżką od skał zbliżyło się dwóch ludzi; wyglądało na to, jak gdyby szli z drogi do Lille. Jeden był młody, drugi stary.

Serce Małgorzaty bić przestało. Ten młody, to Armand, jej brat? Stary?... Hrabia Tournay niezawodnie. Nieświado-



mi zasadzki zdążają do miejsca, gdzie mają posłużyć za przynętę do ujęcia ich zbawcy.

— Obydwaj weszli do budy, — ciągnął żołnierz, a Małgorzacie zdawało się, że słyszy radosny cichy uśmiech Chauvelina — a ja podszedłem bliżej. Ściany budy są nieszczelne, słyszałem wyraźnie całą ich rozmowę.

— No? Prędko! Mów, coś słyszał?

— Stary spytał młodego, czy jest pewny, że to jest umówione miejsce. „— Tak — odpowiedział młody — napewno to samo miejsce“. I wyjął jakiś papier, ażeby pokazać go starszemu przy świetle ognia. — „To jest plan, — powiedział — który dał mi, jak wyjeżdżałem z Londynu. Mieliśmy ściśle się trzymać tego planu, chyba da znać co innego, ale nie dał. Tu jest nasza droga... Tu są widły, proszę popatrzeć, tutaj przecięliśmy drogę a to nasza ścieżka po skałach...“ — W tej chwili musiałem zdradzić się jakimś szmerem, bo młody wyjrzał przez drzwi i pilnie się rozglądał. Gdy powrócił, rozmawiali już tak cicho, że nie nie mogłem dosłyszeć. Było nas tam — ucieu i po naradzie zostawiłem czterech na straży a sam z towarzyszem przybyłem tu, aby donieść, co widzieliśmy.

— A wysokiego cudzoziemca nie było tam?

— Nie widzieliśmy go.

— A co zrobią twoi towarzysze, jeśli go tam zobaczą?

— Będą go śledzić pilnie, a gdyby chciał wymknąć się, lub gdyby łódka jaka zbliżyła się, mają uderzyć na niego. Nie będą strzelać, chyba po to, ażeby przyzwać najbliższy patrol. W każdym razie go nie wypuszczą...

— Tylko go nie zabijcie! — mruknął Chauvelin w jakimś dzikim zapamiętaniu. — No, ale postąpiliście, jak mogliście najlepiej. Może los da, że się jeszcze nie spóźnilena.

— Spotkaliśmy przed chwilą dwunastu ludzi, którzy patrolują drogę tutaj od kilku godzin.

— No i co? Co widzieli?

— Nie spotkali też tego wysokiego cudzoziemca.

— Jedzie napewno przed nami wózkiem, a może pieszo... Tu nie ma chwili do stracenia. Jak daleko do tej budy?

— Bardzo blisko, obywatelu.



— Czy odnajdziesz drogę łatwo? Czy zaraz?... Napewno?

— Bezwątpienia, obywatelu!

— A ścieżkę na skraju skał? I po ciemku?...

— Nie jest bardzo ciemno i wiem, że drogę znajdę i ścieżkę też. — powtórzył stanowczo żołnierz.

— Zsiadaj z konia. Niech towarzysz twój odprowadzi oba konie do Calais. Nie będą już potrzebne. Ty idź koło wózka i pokazuj żydowi drogę. Wstrzymaj go na kilkanaście kroków od ścieżki, ale uważaj, żeby prosto tam jechał...

Desgas zbliżył się tymczasem ze swymi ludźmi. Małgorzata postanowiła usunąć się z drogi. Słyszała i tak aż za wiele. Czarna rozpacz i straszliwe uczucie beziły trzymało ją jeszcze na nogach. Ukryła się znów w krzewach przydrożnych, słyszała wyraźnie wskazówki, które żołnierz wydawał żydowi i tak przeczekała, aż głosy jadących wózkiem ucichły w dali.

Wtedy owinęła się płaszczem i puściła za nimi w ciemną noc, którą teraz jeszcze czarniejszą się jej wydawała.

---

## ROZDZIAŁ XII.

### CHATA OJCA BLACHARD.

Małgorzata szła niby we śnie za głosem oddalającym się. Nie widziała żadnej nadziei ratunku dla męża, czuła tylko, że musi iść za nimi, musi ujrzeć tego najdroższego, wyznać mu wszystko, przeprosić, że go nie rozumiała, powiedzieć mu, jak go kocha z każdą chwilą więcej. Stało się to potrzebną jej duszy. Szła więc dalej, choć nawet sposobność mówienia z nim prawie niemożliwą się jej zdawała.

Odległy szum morza, hukanie sowy, pokrzyki mew, przejmowały ją niewypowiedzianą trwogą. Widziała w gorącejsze jakby dokoła siebie straszne jakieś postacie. Jakiś nielitościwe i głodne bestie, żadne łupu zdawały się ją otaczać ze wszystkich stron. Najstraszniejsza jednak, ta w ludzkiej postaci chwiała się przed nią na żydowskim wózku.

Nogi drżały pod nią i prawie odmawiały jej posłuszeństwa. Przecież to już czwarta noc mija, jak nie miała ani chwili spokoju, ani spoczynku. W tym szalonym podnieceniu nie byłaby nawet zdolną spocząć, i biegła teraz nieprzytomna, jak-gdyby Percy ją wzywał, jak gdyby potrzebną mu była. Instynkt ostrzegł ją, że w pewnej chwili wóz stanął. Zbliżywszy się, usłyszała wydawane półgłosem rozkazy. Chciała je słyszeć koniecznie. Przedzierając się przez krzaki, poślizgnęła się i wpadła w rów, na szczęście suchy i twardą trawą porosły. Tak pełzając wzdłuż drogi, czuła się najbezpieczniejszą i zatrzymała się dopiero na jakie siedem metrów od miejsca, gdzie Chauvelin wydawał rozkazy:

— A teraz, — pytał szeptem — gdzież ta chata ojca Blanchard?

— O jakieś osiemset metrów przy ścieżce — odpowiedział żołnierz który prowadził wyprawę — mniej więcej w połowie stoku tego skalistego wzgórza.

— Dobrze. Poprowadzisz nas. Ale nim zaczniemy spuszczać się na dół, pobiegnij jak możesz najciszej; i przekonaj się, czy ci zdrajcy rojaliści są tam jeszcze. Rozumiesz?

— Rozumiem, obywatelu!

— A teraz posłuchajcie mnie uważnie! — mówił Chauvelin, zwracając się do wszystkich razem. — Posłuchajcie, bo nie wiem, czy starczy mi czasu, aby polecenia powtarzać i zapamiętajcie tak, jak gdyby życie wasze od wiernego wykonania tego rozkazu zależało.

— Słuchamy, obywatelu! — powiedział Desgas. — Żołnierz Republiki nie zapomina rozkazów.

— Ten, który idzie ku chacie, niech zajrzy do środka. Jeżeli Anglik będzie już między tymi zdrajcami, a poznać go łatwo, bo jest wysoki, znacznie wyższy od przeciętnego człowieka, niech da znać krótkim ostrym gwizdnięciem. Wtedy wszyscy niech biegną do chaty i niech każdy pochwyci jednego z tamtych, zanim za broń pochwycą. Tylko w razie, gdy się brać nie dadzą i bronić się lub strzelać zechcą, można strzelać, ale mierzyć w nogi lub ręce, a tego wysokiego Anglika, pod żadnym warunkiem zabić nie wolno. Rozumiecie?

— Zrozumieliśmy, obywatelu!

— Ten wysoki Anglik będzie niezawodnie też odpowiednio mocny, trzeba więc, żeby czterech lub pięciu z was do niego się zabrało.

Tu zamyślił się widać Chauvelin i chwilę trwało milczenie, po czym dalej tłumaczył:

— Jeżeli ci zdrajcy będą jeszcze sami, co jest prawdopodobne, zbierz swoich towarzyszy i otoczcie budę ostrożnie, ale tak się ukryjcie w skałach i za drzwiami, żeby było cicho, jakby makiem zasiał. Dopiero, jak się zjawi Anglik, wbiegnijcie do chaty i postąpcie, jak rozkazałem. Ale pamiętajcie, waszym obowiązkiem jest sprawować się cicho, nie zdradzić się najmniejszym szmerem. Jak spłoszycie ich, tych rojalistów wszystko przepadło. Wystarczy, że jeden z nich krzyknie, albo



wystrzeli z pistoletu, a będzie to przestroga dla Anglika. Ukryjcie się gdzieś, a my mamy rozkaz złapać za wszelką cenę dziś w nocy właśnie tego Anglika.

— Będziemy posłuszni, obywatelu!

— Idźcież zatem ostrożnie naprzód, a ja pójdę za wami.

— A co będzie z żydem, obywatelu? — zapytał Desgas, zsuwając się z konia na wąską ścieżkę za innymi.

— Prawda! Bylbym zupełnie zapomniał o tym żydzie...

Chauvelin zawrócił z drogi.

— Hej! Sam tu... Aron, Mojżesz, Abraham, czy jak się tam nazywasz?! — wołał do starca, który stał przy swej chudej szkapie, trzymając się jak najdalej od żołnierzy.

— Beniamin Rosenbaum, proszę waszej ekscelencji. — powiedział pokornie.

— Słuchaj uważnie Nie proszę cię, lecz rozkazuję, a ty będziesz mądry jak posłuchasz i zastosujesz się ściśle do tego.

— Jak się podoba waszej ekscelencji... to ja...

— Milczeć! Będziesz tu stał z wózkiem, dopóki nie powrócimy. Nie wolno ci odzywać się... Nie waż mi się dobyć głosu Oddychaj nawet jak najciszej. Nie wolno ci się stąd ruszyć, chyba że ja rozkażę. Rozumiesz?

— Ale proszę waszej...

— Żadnego „ale“! — krzyknął Chauvelin. — Nie masz tu nie do gadania...

Biedny stary zaczął się trząść ze strachu.

— Jeżeli, po powrocie nie zastanę cię tutaj, — mówił dalej Chauvelin — ukarzę cię strasznie, znajdę cię prędzej czy później, i to ci zapowiadam, że zemszczę się, jak nie usłuchasz. Rozumiesz mnie?

— Ale proszę ekscelencji...

— Powiedziałem! Rozumiałeś?

Żołnierze odeszli. Stali na pustej drodze, a Małgorzata słuchała wydawanych rozkazów jak wyroku śmierci.

— Ja słyszałem, wasza ekscelencjo — zaczął znów żyd błagalnie, zbliżając się do Chauvelina i przysięgam na Abrahama, na Izaaka i Jakuba, że będę słuchał i będę stał, jak długo wasza ekscelencja nie raczy mnie potrzebować... ale ja jestem

biedny, stary żydek, ja nie jestem taki mocny i taki zuch, jak ci żołnierze... Jak ja tu sam o północy stoję, może przyjść jaki włóczęga, ja mogę się przestraszyć; mogę krzyknąć i uciekać! A ekscelecja za to mnie chce życie odebrać, a co ja temu będę winien, co ja mogę na to poradzić?... Aj, taka bieda na moją siwą głowę!...

Zrozpaczony żydł trząsł się ze strachu. Stanowczo tak bardzo przestraszony mógł on mimowoli krzyknąć i przestrzecz tym sposobem Anyża.

Chauvelin zastanowił się nad tą możliwością.

— Czy koń twój będzie stał sam spokojnie na drodze bez ciebie?

— Co ni ma stać? Un będzie stał jak z żelaza.

— Sądzę, obywatelu komendancie, — wtrącił się Desgas — że lepiej nie zostawiać tu żyda samego przy wózku w stosunkowo niewielkiej odległości od chaty. Temu tchórzowi nie możemy zaufać, przestraszy się byle czego, zacznie wrzeszczeć i nie tylko zaniepokoi tych, co są w chacie i przestrzeże ich, ale nadto uprzedzi o niebezpieczeństwie tego wysokiego Anglika, gdy będzie się on skradał ku chacie...

— Ale co ja z tym bydlęciem zrobię? Jak weźmiemy go ze sobą, gotów jest w ostatniej chwili przed możliwą walką popsuć wszystko swymi jękami i skargami.

— A może odesłać go z powrotem wraz z wózkiem do Calais?

— Nie! Wózek będzie mi może potrzebny... Możemy mieć przecież rannych...

Zamilkli... Przerażony coraz bardziej tą rozmową żydwoźnica stał przy swym koniu, trzęsąc się cały ze strachu.

— Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak zabrać go jednak z sobą. Może nam jeszcze być potrzebny. Każ pan żołnierzom związać go gdzieś w pobliżu chaty w miejscu, gdzieby nam nie zawadzał w ruchach i starannie zakneblować mu



usta na wszelki wypadek, gdyby przyszło mu do głowy wrzeszczeć z przestachu! — mówił Chauvelin do Desgasa głośno i wyraźnie, aby żyd słyszał i rozumiał go. — Pomimo starannego zakneblowania ust będziemy go mieli na oku i będzie mu ciepło, gdyby ośmielił się choćby pisnąć! Słyszałeś, żydzie?

— Uj, panie ekscelencjo! Co ni miałem słyszeć. Ale proszę bardzo pokornie dobrze zawiązać mi gębę, żebym nie mógł wcale krzyknąć... Ja jestem biedny żydek i nie jestem taki odważny jak panowie, albo te żołnierze...

Chauvelin, słysząc to biadolenie żyda, uśmiechnął się. Uczynił to po raz pierwszy od chwili opuszczenia oberży pod „Szarym Kotem“.

Na znak Desgasa dwóch żołnierzy zawiązało żydowi ręce z tyłu i obwiązawszy mu usta chustą, poprowadziło go ku chacie, ciągle grożąc szeptem, żeby stąpał cicho. Okrążywszy chatę, żołnierze kazali mu usiąść na ziemi i związali mu silnie nogi, aby nie mógł się poruszyć, poczem pozostawili go tu i cofnęli się ku reszcie swych towarzyszy.

Wróćmy jednak do Małgorzaty, która korzystając z ciemności, podąża śladem Chauvelina i jego żołnierzy bez żadnego planu, bez żadnej nadziei w sercu, pragnąc jedynie znaleźć się bliżej miejsca, w którym rozegra się śmiertelna walka dwóch jej najdroższych osób, męża i brata z siepaczami rewolucji. Nie wierzy nawet temu, żeby ratunek jakiś był jeszcze możliwy, nie chce po prostu myśleć o tym, bo myśl ta doprowadza ją do szału...

Posuwając się ostrożnie z początku wyschniętym rowem, potem, gdy się skończył, kryjąc się za krzakami i załamkami skał, nie zauważyła nawet, że w wyschniętym listowiu, leżącym na dnie rowu zgubiła pantofle i że teraz ostre kamyki piargów skalnych dotkliwie ranią jej stopy... Nagle przekraczając jakieś większe wzniesienie, poczuła świeży oddech morza na szyi i, zwróciwszy twarz w tę stronę, ujrzała w dole ton morską, połyskującą tajemniczo w przesłoniętym chmurami blasku księżyca. To samo morze, które omywało brzegi Anglii, gdzie nie było rewolucji, gdzie była wolność i spokój...



W odległości około dwóch kilometrów od brzegu kołysał się na falach stojący widocznie na kotwicy jakiś statek; widziała wyraźnie biały zarys jego kadłubu, światła iluminatorów kabin i dwóch latarni na pokładzie... Tak, to napewno „Sen“, jacht jej męża, na którego pokładzie wierny sternik Briggs czeka na powrót swojego pana i jego przyjaciół... Czy Percy ujrzy go jeszcze kiedy, czy noga jego stanie jeszcze kiedy na deskach pokładu?...

Z wysiłkiem oderwała oczy od statku, który wydawał się jej w tej chwili przybytkiem raj u i rozejrzała się wokół. Na ładzie panował jakby większy mrok niż nad powierzchnią morza. Powoli jednak oczy jej oswoiły się znów z ciemnością i znów zaczęła odróżniać pewne szczegóły.

Przed wszystkim więc w dole, w odległości zaledwie około stu kroków ujrzała oświetlony prostokąt okna. Domyśliła się, że jest to zapewne owa chata, w której jej brat i chroniący się ucieczką rojaliści francuscy oczekują na przybycie Anyża, który ma ich zaprowadzić do upragnionej wolności.

Zacząła zastanawiać się nad tym, czy nie udałoby się jej w jakiś sposób, korzystając z ciemności, przekraść się nieopstrzeżenie do chatki, której okno zaprasza ją jakby, aby uprzedzić znajdujących się w niej nieszczęśników o tym, co im grozi. Może, powiadomieni o zdradzie i niebezpieczeństwie, zdolają i oni w jakiś sposób wykorzystać ciemności i opuścić chatę, ukryć się wśród skał... może nawet spotkać i uprzedzić o wszystkim zbliżającego się ku chacie dzielnego ich wybawcę, Anyżę Percy'ego....

Rozejrzała się raz jeszcze uważnie... W świetle, rzucanym przez okienko, nie było widać nikogo z ludzi, biorących udział w zasadzce. Chauvelin z Desgasem i jednym czy dwoma żołnierzami powinien by być według jej obliczeń trzymać się gdzieś z dala od chaty, w pobliżu skał i krzaków... Może nawet, nie wiedząc o tym, znajduje się gdzieś blisko niej... Trzeba zatem podwoić ostrożności i zachowywać bezwzględna ciszę... Jak to dobrze, że zgubiła obuwie, może teraz posuwać się zupełnie bezszelestnie... Trzeba zacząć działać...

Przeżegnała się i zamierzała ruszyć w kierunku oświetlonego okna chatki, gdy nagle...

Jakieś silne szerokie ręce chwyciły ją za głowę i ktoś, zrywając jej szal z szyi zakrył nim jej usta, które mimowoli otworzyła do krzyku. Jednocześnie poczuła, że druga para jakichś rąk chwyta ją za ramiona i unosi w powietrze

Straciła przytomność...

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### OSACZENI.

Jak długo niesiono ją w ten sposób, nie mogłaby pewnie tego określić. Czas, przestrzeń przestały dla niej istnieć! Litościwa natura odjęła jej przynajmniej świadomość tej chwili.

Zbudziła się we względnie wygodnej pozycji, położona na żołnierskim płaszczu. Księżyc schował się znów i noc była tym czarniejsza. Nie widziała już czerwonym blaskiem oświetlonego okienka. Słyszała tylko szum fali i ostrożne szepty wokół siebie.

Rozległy się ciche kroki.

Ktoś się zbliżył w ciemności i zapytał.

— Co się dzieje w chacie?

— Jest ich tam czterech, obywatelu-komendancie! Siedzą przy ogniu, jak gdyby na kogoś cierpliwie czekali!

— Godzina?

— Blisko druga.

— Przyptyw?

— Nadchodzi!

— Trójmasztowiec?

— Widać się, że angielski... Stoi stąd o jakie trzy kilometry. Łódki nie widać.

— Czy ludzie wasi ukryci?

— Tak jest, obywatelu.

— Nie zrobią jakiego głupstwa?

— Nie ruszą się aż nadejdzie ów wysoki Anglik, wtedy cię i wszystkich i na tych pięciu wpadną.

— A ta pani?



— Jeszcze zemdłona, myślę. Jest tu obok. Koło ciebie obywatelu leży, prawie u twoich nóg. Tam, gdzie stanąłeś.

— A żyd?

— Usta ma zakneblowane i nogi związaliśmy mu. Nie może się ruszyć ani krzyknąć. Leży za chatą.

— Dobrze! Opatrzeć pistolety, bo mogą być potrzebne. Idźcie do chaty i stojcie przy niej blisko, a ja tu będę uważał na tę panią.

Desgas usłuchał widocznie, bo Małgorzata słyszała ciche jego stąpanie po kamienistej skale.

Wkrótce poczuła, że dłonie jej chwytają jakieś gorące, do szpon ptasich podobne, a silne, jak stal, ręce.

— Zanim zdejmę chustkę z twych ust, piękna pani, — szepnął jej Chauvelin tuż koło ucha — wysłuchaj małe słówko przestrogi. Wiem, kto jesteś, domyśliłem się i jakkolwiek zachwycającym jest twoje towarzystwo w tak dalekiej podróży, nie pochlebiam sobie, żebyś dla mnie aż tu przyjechała i mogę słusznie przypuszczać, że pierwsza rzecz, którą uczynisz po zdjęciu bandaża z twych ust, będzie wołanie ostrzegawcze dla tego chytrego lisa, którego z takim trudem aż tu wytropiłem!...

Zatrzymał się na chwilę, a żelazne szpony zacisnęły silniej jej bezwładne dłonie.

Po chwili szeptał dalej:

— W tej chacie jest twój brat Armand, zdrajca de Tourmay i dwóch obcych ludzi, arystokratów francuskich, oczekujących tajemniczego wybawcy, tego, którego od tak dawna poszukuje Komitet Publicznego Bezpieczeństwa, bezczelnego Anyża. Bezwątpienia, jeśli teraz krzykniesz, lub zaczną strzelać, to długie nogi zanoszą szybko tego zagadkowego sfinksa w bezpieczne miejsce. A po to tu przybyłem, żeby go pochwycić...

Patrzył z bliska w twarz Małgorzaty. Mimo ciemności poznał, że go rozumie i mówił dalej:

— Jeśli chcesz ratować Armanda, żądam bardzo małej rzeczy od ciebie a wywieziesz go zdrowego do Anglii, lub gdzie zresztą zechcesz?

Ręce Małgorzaty, które swymi szponami obejmował, praw-

„Dopódnienie drgnęły, bo mówii, jakby odpowiadając na jej pytanie:

— Pozostań tu i nie krzycz! Nie mów nic, dopóki nie pozwolę. Ah! Myślę, że posłuchasz! — dodał złośliwie, patrząc na proslującą się i sztywną z przerażenia Małgorzatę. — Pozwól sobie przy tym powiedzieć, piękna pani, że za najmniejszym twym gestem, wołaniem, albo próbą ucieczki z twej strony, moich trzydziestu żołnierzy mają wyraźny rozkaz zastrzelić St. Justa i Tournay'a na miejscu!

Małgorzata przerażona patrzyła rozszerzonymi źrenicami na swego prześladowcę.

Znów oto zmusza ją do wyboru. Albo! albo! Ale wtedy, w loży opery nie wiedziała, czyje życie naraża... Teraz wie, że może uratować swego męża najdroższego, ale równocześnie wyda wyrok śmierci na brata!

Nie widziała pochylonego nad sobą Chauvelina, czuła raczej tylko wzrok jego złośliwy i słyszała gwałtowny pośpieszny szept, który dźwięczał w jej uszach złowrogo:

— No i cóż, piękna pani? — mówił przyjacielsko. — Przecież tobie tylko na życiu brata zależy, a tego kazałem oszczędzać. Przecież życie zagadkowego Anyża nie obchodzi cię wcale? Zresztą, wierzaj mi, żaden głos ani krzyk już go nie zbawia. Pozwól tedy, że zdejmę tę nieprzyjemną chustkę z twej twarzy. Pragnę, byś była swobodną i sama wybór uczyniła.

Małgorzata czuła zamęt w myślach, tętniące pulsa a zmęczone i obolałe ciało zaledwie się mogło poruszać.

Noc ciemna okryła ją jakby czarnym całusem. Z daleka dochodził szmer przypływu morza i szeptał złowrogo, że oto mija już ostatnia nadzieja ratunku dla męża, którego sama zdradziła i na śmierć wysłała.

Chauvelin zdjął z jej ust chustkę.

Nie krzyknęła. Siedziała wyprostowana i zmuszała się do myślenia. W tej ciszy, w tych porannych przed świtaniem godzinach minuty wydawały się jej wiekami. Oto siedzi na samotnej skale, ona, królowa angielskiego towarzystwa, obok niej zaś stoi wróg jej zaciekle. Kto wie, o jakie sto kroków



może zbliża się, idzie na swoją zagładę... kto? Mąż jej, ten, którym dawniej pogardzała, a którego życie teraz z każdą minutą droższe się jej staje! A ona nie może, nie wolno jej go ratować. Wystarczyłby jeden okrzyk, jedno zawołanie. Ale wtedy Armand i Tournay w jej oczach zostaną zastrzeleni! Powiedziały jej to Chauvelin wyraźnie! Och, ten zna serce kobiety. Umie dotykać strun serdecznych i potrafi nimi rozporządzać dowolnie.

Kilka razy cisnęło się jej do gardła wołanie, lecz zapanowała nad nim. Miałaby Armand przeklinać ją, umierając? Czyż ma prawo pozbawiać przyjaciółkę, słodką Zuzannę, ojca? A nadto tamci dwaj uciekinierzy! Nie, to niemożliwe!...

Czekać! Czekać! Cisza grobowa! Lekki wietrzyk poranku zaledwo twarz muska. Świtu jeszcze nie widać. Morze tylko szumi jednostajnie...

Nagle ciszę przewał jakiś głos! Blisko, tak blisko, że trudno odgadnąć, skąd się dobywa...

Silny męski głos śpiewał:

„God save the King“. (Boże, chroń króla!)<sup>1</sup>

---



## ROZDZIAŁ XIV. TRÓJMASZTOWIEC.

Małgorzata wylężyła słuch. Czuła raczej, niż słyszała, że żołnierze szykują się do napadu. Przeczulonym zmysłem odgadywała, że każdy z pałaszem w dłoni skrada się, gotów do skoku. Głos słaby z początku nabierał z każdą chwilą siły, Rozległ się teraz pełnym echem po skałach...

Ale skąd właściwie pochodził, poznać było trudno... Zdawało się Małgorzacie, że życie w niej ustaje...

Głos jakby zbliża się i niebawem śpiewak będzie pochwycony...

Tuż obok niej Desgas podnosił kurek swego karabinu...

Nie! Nie! Oh! Boże na niebie! To być nie może! Niech krew Armanda spada na jej głowę! Niech piętno morderczyni przylgnie do niej na zawsze! Niech on, ten ukochany pogardza nią i przeklina, ale... Boże ratuj go!

Zerwała się z dzikim okrzykiem i obiegła skałę, na której spoczywała; na widok czerwonego blasku okienka popędziła co siły ku budzie a dopadłszy do drzwi, zaczęła bić pięściami w drewniane jej ściany, wołając:

— Armandzie! Armandzie! Strzelaj na miłość Boską! Wasz przewodnik zbliża się! Tu przychodzi! Ale on jest zdradzony! Strzelaj, Armandzie! Zaklinam cię!

Pochwycono ją i rzucono na ziemię. Leżała, jęcząc i szlochając nerwowo. Obojętna na wszystko, wołała nieustannie:

— Percy, mój mężu, uciekaj na miłość Boską! Armandzie! Armandzie! Czemu nie strzelasz?

— Niech który zamknie jej usta! — zasyczał Chauvelin, z trudnością powstrzymując się od uderzenia nieszczejnej.

Ktoś rzucił jej coś ciężkiego na twarz i głowę, pewnie płaszcz. Nie mogła odetchnąć i zamilkła.

Zamilkł też i odważny śpiewak, zapewne przestraszony krzykiem Małgorzaty.

Ludzie zerwali się, na nogi. Nie było już powodu ukrywać się z chwilą, gdy wszystkie skały obieży jej bolesne krzyki. Chauvelin w pasji pomrukiwał przekleństwa. Byłby ją zgniótł za popsucie tak dobrze ułożonego planu, wreszcie rzucił rozkaz:

— Wszyscy do budy! Nikogo żywcem nie puścić!

Księżyc znów wyrzał z za chmur i oblał jasnym światłem ciemne dołady skały. Żołnierze dobijali się do drewnianych drzwi chatki; jeden z nich został na straży przy Małgorzacie. Drzwi ustąpiły łatwo, lecz żołnierze stanęli stropieni i bezradni.

Chauvelin nadśluchiwał przez chwilę, czy odgłosy walki będą gwałtowne i nie mógł zrozumieć tego długiego milczenia i ciszy.

W trwożnym przeczuciu pobiegł sam i zajrzawszy w ciemną pustkę chaty, zapytał:

— Co to ma znaczyć?

— Myślę, obywatelu, że tam już nie ma nikogo! — odrzekł apatycznie jeden z żołnierzy.

— Jakto, wypuściliście tych czterech? — grzmiał groźnie Chauvelin. — Rozkaz był, żeby nikogo nie puścić żywego! Prędko! Biegnijcie wszyscy za nimi! Prędko na wszystkie strony!

Żołnierze mechanicznie posłuszni, rozbiegli się po skałach.

— Ty i twoi ludzie śmiercią zapłacicie za ten błąd, sierżancie! — rzekł Chauvelin rozdrażniony do dowódcy oddziału. — A ty też obywatelu — mruknął do Desgasa — za zlekceważenie rozkazu!

— Kazałeś nam czekać, obywatelu, dopóki wysoki Anglik nie połączy się z tamtymi. A ponieważ nikt nie nadchodził...

— Ale teraz, gdy ta kobieta krzyczała, kazałem pędzić co tchu do budy i nikogo nie szczędzić!



— Ci czterej ludzie, którzy tam byli, już dawno prawdopodobnie odeszli, tak myślę... — wtrącił się sierżant, dowódca żołnierzy.

— Myślisz, ty! Ty?... — dławił się w furii Chauvelin. — A dlaczegoś ich puścił?

— Rozkaz był czekać! Śmierć w razie nieposłuszeństwa! Więc czekaliśmy! — mówił spokojnie sierżant, po chwili zaś, widząc, że Chauvelina nie opuszcza jeszcze wściekłość, dodał. — Nawet widziałem, kiedy wychodzili... To było zaraz po naszym ukryciu się tu. O wiele prędzej, zanim ta kobieta zaczęła krzyczeć...

— Słuchajcie! — zawołał Desgas niespodzianie.

Z daleka doszedł ich uszu odgłos strzałów... Księżycy jednak znów nie było i nie mogli przebić okiem ciemności.

— Niech który idzie do budy i zaświeci tam! — wykrztusił w końcu Chauvelin.

Sierżant wydobyl latarkę z za pasa, ukląkł na ziemi przy żarzących się węglach, rozdmuchał je i zaświecił latarkę.

Chata okazała się pusta.

— Czy widziałeś, którędy oni poszli? — zapytał Chauvelin sierżanta.

— Dokładnie nie umiałbym powiedzieć, bo było ciemno, szli prosto na skały, a potem znikli pomiędzy kamieniami.

— Cicho! Co to jest?

Z daleka doszedł ich ogłos jakby uderzenia wiosłami o wodę.

Chauvelin wyjął chustkę i ocierał nią pot z czoła

— To łódka z tego trójmasztowca! — stwierdził poważnie. — Wątpić nie można, że St. Just i towarzysze jego przemknęli się cichutko i dopadli łódki. Tymczasem wierni synowie Republiki oczekiwali nadejścia wysokiego Anglika, bo tak im rozkazano i zagrożono śmiercią w razie nieposłuszeństwa. U wybrzeża jest wiele skał, które głęboko wybiegają w morze; koło umówionego miejsca pewnie na zbiegów czekała łódź po-  
biegli tam prosto i teraz są już na pokładzie „Snu“.



Jakby na potwierdzenie tego przypuszczenia na morzu rozległ się głuchy wystrzał armatni.

— To trójmasztowiec odpływa, obywatelu! — rzekł spokojnie Desgas.

Po napadzie wściekłości starał się Chauvelin przyjść do siebie i całą siłą nerwów opanować fatalną sytuację. Nie wątpił, że znów padł ofiarą sprytnego wybiegu tego przeklętego Anglika. Ale jakim sposobem pomimo rozstawionych patroli potrafił on porozumieć się z tamtymi? Jakim cudem przedostał się tu do tej budy, strzeżonej przez trzydziestu żołnierzy? Czy jakieś fatum potężne strzegło tego Anyża?

Dreszcz zabobonny przebiegł Chauvelina, gdy rozglądał się po pustych i samotnych skałach.

Co było złudzeniem w tym wypadku, a co rzeczywistością? On sam, a z nim trzydziestu ludzi słyszało wyraźnie śpiew: „God save the King“, a śpiew ten odezwał się w jakieś dwadzieścia minut po otoczeniu budy przez żołnierzy...

O tej porze tamci czterej byli już pewnie na łodzi... Gdzież się podział ten śpiewak? Nie mógł się dostać do łodzi, która odpłynęła w dwie minuty po jego śpiewie, żaden szatan nie mógł mu wręczyć tak szybkich skrzydeł. Jest więc gdzieś tutaj, ukryty wśród skał...

Chauvelin winał sobie, że był na tyle przezoŃny i rozkazał przeszukać skały. Jeszcze nie stracona nadzieja, że żołnierze wynajdą i pochwyć Anyża.

— Spóźniliśmy się, obywatelu! — raportowali zdyszanyym głosem dwaj żołnierze, wspinając się z trudnością po spadzistej opadającej ku morzu skale. — Właśnie w chwili gdy, dobiegaliśmy do brzegu, łódź odpłynęła. Strzelaliśmy za nimi... Łódź popłynęła prosto do trójmasztowca, widzieliśmy to jasno przy świetle księżyca.

— Tak — zachnął się niecierpliwie Chauvelin — już odpłynęła! A do tej przystani jest stąd dosyć daleko?...

— Tak jest, obywatelu, biegłem przez całą drogę, bo widziałem, że tam przyplływ jest najwcześniejszy. Ale łódź musiała

odpłynąć już na parę minut przedtem, nim ta kobieta zaczęła krzyczeć.

Na parę minut przedtem, nim kobieta zaczęła krzyczeć? Więc Chauvelin nie pomylił się w swym przypuszczeniu. Anyż posłał ich wcześniej do łodzi i dał instrukcje a sam tu gdzieś jest jeszcze na brzegu. Jeszcze nie wszystko stracone dopóki ten śmiałek jest na francuskiej ziemi.

— Dajcie tu światło! — rozkazał żywo, wchodząc raz jeszcze do budy.

Sierżant podał mu latarkę i we dwóch zrobili przegląd całego schroniska. Chauvelin objął szybko wzrokiem wnętrze chaty. Kociołek nad tlejącymi węglami, kilka krzeseł w pośpiesznej ucieczce poprzewracanych, siatki i narzędzia rybackie porzucone w kącie a koło nich jakaś biała kulka...

— Podnieś to! — rozkazał sierżantowi, wskazując na biały przedmiot. — I podaj tu!

Był to zmięty kawałek papieru, widocznie w pośpiechu zapomniany.

Sierżant przygnębiony pogroźkami i złym humorem obywatela-dowódcy, podał mu go z uszanowaniem.

— Przeczytaj, sierżancie! — rozkazał niecierpliwie. Chauvelin.

— Tego prawie odczytać nie można, obywatelu... Straszne jakieś bazgroły...

— Rozkazałem przeczytać! — powtórzył Chauvelin ze złośliwą zaciętością.

Sierżant przysunął latarkę do kartki i powoli zaczął odczytywać jakieś widocznie naprędce skreślone słowa:

*„Nie mogę dostać się do was, bo naraziłbym życie wasze i wynik całej naszej wyprawy. Po otrzymaniu tej kartki, zaczekajcie ze dwie minuty, a potem wychodźcie powoli, jeden po drugim, bierzcie z miejsca na lewo i ostrożnie wzdłuż skały, ciągle na lewo, aż dojdziecie do tej, która wysuwa się daleko w morze. Tam trze-*



*ba gwizdnąć, bo łódź czeka. Powieźcie mas ona prosto do jachtu. Jak dostaniecie się na „Sen“, kaźcie ludziom płynąć po mnie, będę na skale naprzeciw „Chat Gris“ (Szary Kot) koło Calais. Oni znają tę skalę. Ale niech będą ostrożni, niech się nadto nie zbliżają i muszą czekać na mój sygnał. Nie zwlekajcie, wypełnijcie dokładnie to moje polecenie“.*

— A tu jest podpis, obywatelu! — dodał, zwracając papier Chauvelinowi i pokazując mu niezręcznie narysowany kwiatek anyżu.

Chauvelin rzucił się niechętnie, gdyż co innego zajęło agenta w tej chwili. Słowa — „będę na skale w prostej linii naprzeciw „Chat Gris“ koło Calais“ — jeszcze — mogły mu wróżyć zwycięstwo.

— Który z was zna dokładnie brzegi? — zawołał do ludzi, którzy ściągali powoli po bezowocnych poszukiwaniach i gromadzili naokoło chaty.

— Ja znam doskonale, obywatelu! — zawołał jeden z żołnierzy. — Urodziłem się w Calais i znam każdy kamień w tych skałach.

— Czy jest jakaś przystań naprzeciw „Chat Gris“ w prostej linii?

— Jest, obywatelu! Znam tę przystań dokładnie!

— Anglik ma nadzieję dostać się do tej przystani. Ale on nie zna tych stron i pójdzie pewnie dłuższą drogą, ażeby wyminać patrole. W każdym bądź razie mamy jeszcze jedną sposobność. Tysiąc franków każdemu, który dobiegnie do tej przystani przed długonogim Anglikiem!

— Ja znam krótką drogę przez skały! — zawołał jeden z żołnierzy i rzucił się a za nim pobiegła reszta towarzyszy.

W parę minut odgłos ich kroków ucichł w oddaleniu.

Chauvelin z rozkoszą wsłuchiwał się w odgłos biegnących kroków. Obietnica nagrody dodała skrzydeł żołnierzom.

Błysk nienawiści i spodziewanego tryumfu znów odbił się na twarzy agenta. Tuż obok stał milczący i niewzruszony Desgas.



Dwóch żołnierzy klęczało przy rzuconej na ziemię Małgorzacie.

Chauvelin spojrzał zjadliwie na swego sekretarza... Tak świetnie ułożony plan nie udał się. Niewiadomo, czy drugi lepiej się im powiedzie... Anyż może się jeszcze raz wymknąć!...

Chauvelin w swym zapamiętaniu potrzebował wyrzucić na kimś swą wściekłość. Żołnierze przytrzymywali na ziemi Małgorzatę, chociaż ona nie próbowała walczyć z nimi. Leżała w omdleniu.

Każdy, patrząc na tę zboląłą, bladą, umęczoną twarzyczkę tej olśniewającej, słynnej z piękności i dowcipu królowej salonów, byłby ulitował się nad jej niedolą! Ale na uczucie litości nie było miejsca w sercu Chauvelina.

— Będziecie tu straż trzymać przy wpółumarłej kobiecie, — mówił Chauvelin w złości do żołnierzy — a pięciu ludziom dalszcie uciec?...

A widząc, że się pozrywali posłuszni, dodał:

— Lepiej poszukajcie tu na skałach naszej ścieżki i tego wózka, którym tu przybyłem.

Nagle twarz mu się rozjaśniła, przypomniał sobie coś widocznego.

— Słuchajcie! A gdzie jest ten żyd?

— Tu obok, obywatelu! — oświadczył Desgas. — Ma związane nogi i usta zakneblowane, jak rozkazałeś!

Rzeczywiście, po drugiej stronie budy odezwał się żaloszny jęk. Chauvelin poszedł tam ze swoim sekretarzem i ujrzał nieszczęśliwca powalonego na ziemię, związanego w desperackiej pozycji.

W srebrnym świetle księżyca ta blada przerażona twarz wydawała się już nieżywą. Oczy szklane przejmowały wstrętem. Trząsł się na całym ciele i od czasu do czasu jęczał boleśnie. Sznur, opasujący go, zsunął mu się z ramion, ale on nie czuł zdaje się nawet tej względnej ulgi, bo leżał rozciągnięty, jak zabity zając... Bał się widocznie nawet poruszyć

— Przyprowadź mi tu to bydlę fchörzliwe! — rozkazał Chauvelin.

Ucieszyła go myśl, że ma przedmiot, na którym wywrze bezkarnie swą złość.

Ze zjadliwym uśmiechem zapytał nieszczęśliwego starca, który chwiał się na nogach tak, że go dwóch żołnierzy podtrzymywać musiało.

— Kiedyś ty żyd, to pewnie dobrze pamiętasz naszą umowę? Odpowiadaj! — krzyknął, tupiąc nogą, bo żyd drżał i nie mógł przemówić ani słowa.

— Tak, wasza ekscelencjo! — wyjąkał biedak.

— Pamiętasz, żeś mi obiecał w Calais, że na drodze spotkamy Reubena Goldsteina, jego szkapę i wysokiego cudzoziemca Anglika? Co?

— Kiedy... wasza ekscelencjo...

— Żadne „kiedy“! Powiedziałem, pamiętasz?

— T... t... tak... wasza ekscelencjo...

— Jaka była umowa?

Cisza. Biedny żyd patrzył na skały, na księżyc, na żołnierzy, nawet na leżącą bezwładnie kobietę, ale nic nie mówił..

— Czy będziesz odpowiadał? — huknął groźnie Chauvelin.

Byłby chciał nawet, ale trzęsące się wargi nic wymówić nie mogły. Nieszczęśliwiec nie miał złudzeń co do losu, jaki go czeka.

— Wasza ekscelencjo... wasza wysokość... — szeptał błagalnie.

— Więc jeśliś ze strachu oniemiał, — powiedział z ironią Chauvelin — to ja ci pamięć odświeżę. Otóż stanął między nami układ, że jeżeli dogonisz mego przyjaciela, wysokiego Anglika zanim on tu przybędzie, miałeś dostać dziesięć dukatów.

Z drżących warg żyda wybiegł cichy jęk.

— Ale. — dodał Chauvelin powoli i z naciskiem — jeżeli



obietnicy nie dotrzymasz, masz dostać kiję, które cię kłamsłwa oduczą.

— Ja nie kłamałem, wasza wysokość, przysięgam na Abrahama...

— Żebyś mi tu na wszystkich patriarchów się przysięgał, to ci i tak nie pomogą, bo dawno już siedzą w piekle. Nie dotrzymałeś umowy, ale ja, com obiecał, każę ci wypłacić sumiennie. Ano! — tu zwrócił się do żołnierzy. — Zdejmcie tam ze dwa pasy i rzemieniem tego przekłętego żyda!

Żyd zawył boleśnie — mógł zbudzić wszystkich swoich patriarchów. Żołnierze ścigali szerokie skórzane swe pasy.

— Daję wam swobodę, obywatele! — śmiał się złośliwie Chauvelin. — Obijcie porządnie tego starego oszusta! Ufam, że porządnie to zrobicie. Ale go nie zabijacie! — dodał sucho.

— Obijemy go rzetelnie, obywatelu! — odrzekli żołnierze skwapliwie, radzi, że po wszystkich groźbach i wymówkach wodęcy mogą odbić na kimś trzecim swe przykrości.

— Jak skończą! — zwrócił się Chauvelin do Desgasa — niech wracają do wózka. Jeden z nich powiezie nas z powrotem do Calais. Żyda i kobietę pozostawimy tu, niech się sobą opiekują. Daleko nie pójdzie żadne z nich, a my mamy ważniejszą robotę.

Chauvelin był jeszcze dobrej myśli. Trzydziestu jego ludzi podniecała nadzieja nagrody. wydawało mu się niepodobieństwem, żeby Anyż miał się im wymknąć po raz drugi. Kto wie, czy i teraz cała sprawa nie byłaby inaczej poszła, gdyby nie zakute głowy tych ludzi i gdyby Małgorzata nie była im tyle czasu zabrała... Gdyby ten Desgas był trochę inteligentniejszy... Gdyby ci ludzie...

Tak rozmyślał Chauvelin i przeklinał wszystkich i wszystko, a największe gromy sypały się na głowę zagadkowego, tajemniczego Anyża. Wrzask i żałosne jęki i skargi chłostanego żyda napełniały złe jego serce rozkoszą. Rad był, że ktoś jeszcze więcej cierpi, niż on w tej chwili. Uśmiechał się.



Koło skały na twardym kamiennym podłożu spoczywała bezwładna postać Małgorzaty Blackeney. Dalej o parę kroków dwa żołnierskie pasy miarowo uderzały o szerokie barki żyda. Jęki jego i wycia mogły zbudzić umarłego.

— Wystarczy! — zawołał Chauvelin, gdy jęki poczęły ustać i starzec omdlał prawdopodobnie. — Nie potrzebujecie go zabijać.

Żołnierze zaprzestali razów, jeden z nich kopnął leżącego żyda nogą, zapinając swój pas.

— Zostawcie go tu! — rozkazał Chauvelin. — A sami spieszcie do wózka, ja idę za wami.

Zbliżył się do miejsca, gdzie leżała Małgorzata i zajrzał jej w twarz. Budziła się powoli z omdlenia i z przerażeniem patrzyła na żyda, którego jęki prawdopodobnie wróciły jej przytomność.

Dostrzegła Chauvelina. Patrzył jej w oczy złośliwie. Po chwili z udaną galanterią podniósł jej lodowatą rękę do swych ust.

Dreszcz oburzenia i nieopisanego wstrętu przebiegł zmęczone jej członki.

— Mocno żałuję, piękna pani, — mówił słodziutkim głosem — że okoliczności powołują mnie gdzie indziej i zmuszony jestem zostawić cię tu samą. Ale odchodzę spokojny, że nie jesteś pozbawioną opieki. Nasz przyjaciel Benjamin, choć trochę chwilowo niedysponowany, okaże się pewnie rycerskim obrońcą tak uroczej osoby. Nad ranem przyślę ci tu eskortę a tymczasem nie wątpię, że on będzie na twe usługi mimo trochę mu ciężko poruszyć się.

Małgorzata odwróciła głowę z obrzydzeniem.

Wraz z powracającą przytomnością ból i straszny niepokój wzerały się w jej serce.

— Co się dzieje z Percym? — myślała żałośnie. — A co z Armandem?

Od czasu, gdy usłyszała rzeźki głos śpiewający „God save

the King", aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z niczego. Była pewną, że już obaj nie żyją.

— Niechętnie porzucam cię, piękna pani! — dodał jeszcze Chauvelin. — Do widzenia! Spotkamy się może wkrótce w Londynie? Czy ujrzę cię na zabawie u księcia Walii? Nie? Ha! Więc do widzenia! Przypomnij mnie pamięci sir Percy Blackeneya, proszę!

Z ironicznym ukłonem jeszcze ucałował jej rękę.

Nie poruszyła się.

Powoli zaczął posuwać się po ścieżce w ślad za swoją eskortą. Za nim niewzruszony znikł Desgas.

## ROZDZIAŁ XV.

### UCIECZKA.

Na wpół przytomna przysłuchiwała się Małgorzata szybko oddalającym się krokom czterech ludzi. W ciszy nocnej, leżąc zwrócona uchem do ziemi, mogła wyraźnie śledzić odgłos ich miarowego stapania. Wiedziała, kiedy się dostali na drogę. A niedługo później doszło ją słabe echo turkotu starego wózka. Upewniło ją to, że wróg jej już o jakieś kilkaset metrów jest oddalony.

Leżała w odrętwieniu, nie zdając sobie sprawy, jak długo tu spoczywa. Utraciła rachubę czasu. Patrzyła jak przez sen na jasne niebo i słuchała miarowych uderzeń sali. Powiew morski odświeżał i wzmacniał jej strudzone ciało, ogrom otaczających samotnych skał rozmarzał ją i uspokajał. Umysł tylko pozostał świadomy bolesnej, dręczącej niepewności. Nie wiedziała nic, co się tu stało...

Może Percy jest już w rękach żołnierzy Republiki, i jak ona przed chwilą, — przedmiotem ich drwin i złośliwego nagrawania się. Nie wiedziała, czy tam, w tej budzie, nie leży bez duszy Armand... W takim razie Percy już wie, że to ona mordcom drogę wskazać...

Ból fizyczny i zmęczenie przemogły nawet jej boleść okrutną. Pragnęła leżeć tak bez ruchu do końca życia. Wokół cisza i samotność, jak w śnie jakim czarodziejskim. Nie nie przywoływało jej do rzeczywistości... Echo odjeżdżającego wózka dawno już zamilkło w przestrzeni...

Nagle... głos dziwny... tym dziwniejszy, że go samotne skały Francji pierwszy raz może słyszały... I nagle ułamek



spokój całej natury. Był tak dziwny, że biednej Małgorzacie zdawało się, iż wiatr nagle szemrać przestał, fala rozpryskiwać się o brzegi, a ona sama ulega jakiemuś przedśmiertnemu, nawpół sennemu złudzeniu.

Usłyszała dobitne, czysto angielskie zakłęcie „Daum“.

Ptaki morskie zbudziły się w swych gniazdach i rozglądały zdziwione; z daleka ozwał się głuchy krzyk sowy. Nawet skały spoglądały chmurnie, zgorszone tym dziwnym, niesłychanym świętokradztwem...

Nie ufała swemu słuchowi. Uniósłszy się na rękach, wyłężała swe zmysły, ażeby dojrzeć, lub usłyszeć, co znaczy ten tak bardzo pospolity wyraz.

Ale już znów cisza niezmącona panowała naokół.

A jednak usłyszała go jakby w pół śnie i teraz śni może jeszcze, gdy chłodny nocny powiew przynosi jej znów to samo słowo?

Serce jej prawie bić przestało, szeroko otwartymi oczyma rozglądała się wokoło, jakieś dziwne przecucie i nadzieja zmuszały ją do natężenia uwagi.

— Ciężkie życie!... Żeby choć nie tak mocno biły te przekłete draby!...

Sen, czy jawa? Tylko jedno usta na świecie potrafiły wymawiać angielskie wyrazy tym posowym przeciągłym akcentem.

— Daum! — powtórzyły te same usta żałośnie. — Nie mam nic sił! Do diabła!

Małgorzata skoczyła na równe nogi.

— Czy śni? Czy te skały to wejście do raju? Może jest w gorączce i majaczy?...

Rozgląda się wokoło. Oto samotna chata rybacka, ogromne skały i przestrzeń kamienista wybrzeża. Ale gdzieś tutaj, nad nią, czy koło niej, za jakimś głazem, czy w skalnej rozpadlinie ukryty jest właściciel tego głosu. Człowiek, którego niedawno „cierpieć nie mogła, a który teraz uczyniłby ją na-

szczęśliwszą kobietą w świecie. Gdybyż tylko mogła znaleźć jego kryjówkę...

— Percy! Percy! — wołała, szlochając nerwowo, dręczona na przemian zwątpieniem i nadzieją. — Ja jestem tutaj! Przyjdź do mnie! Gdzie jesteś, Percy?

— Bardzo to pięknie, że mnie wołasz, najdroższa, — odezwał się ten sam głos — ale nie mogę przyjść do ciebie... Te przeklęte żabojady obrzeczali mnie jak gęś na rożen. Słaby jestem i nie mogę się ruszyć.

Jeszcze i teraz nie mogła zrozumieć, skąd pochodzi ten głos słaby, żalotny a przy tem taki rozwlekły, taki drogi... W pobliżu nie było nikogo. Chyba tam przy skale... Wielki Boże... Ten żyd... Czy śni jeszcze, czy oszalała?...

Odwrócony plecami do światła księżycy, skulony, na próżno starał się zerwać, bo ręce miał związane. Małgorzata podbiegła ku niemu i pochwyciła jego głowę w swoje ręce... Z wykrzywionej, umęczonej twarzy żyda spoglądała para niebieskich oczu, pocziwych i nawet teraz trochę figlarnych.

— Percy!... Mój mężu — szeptała, bezsilna prawie pod ciężarem pełni zalewającego jej duszę szczęścia. — Więc żyjesz? Bogu dzięki!... Dziękil!

— Eh! Najdroższa! — powiedział wesoło. — Zaraz dziękować będziemy oboje, ale spróbuj, czy nie mogłabyś mnie z tych pęt uwolnić i dopomóc, bym przybrał trochę bardziej dystygowaną pozę?

Zesztywniałe jej palce były zbyt słabe, noża nie miała, szarpała więc sznury zębami, a wielkie łyzy szczęścia spadały na spętane, pokaleczone jego ręce.

— Ciężkie życie! — odetchnął w końcu, gdy po szalonym wysiłku pęty opadły. — Ciekaw jestem, czy zdarzyło się to kiedy, żeby angielski szlachcic dał się bić cudzoziemcowi i nie oddał mu pięknym za nadobne?

Wyczerpany bólem upadł jak kłoda z chwilą, gdy sznury puściły.

Małgorzata rozglądała się w bezradnej rozpacz.



— Zehy choć kropła wody na tym pustkowiu! — zawołała, widząc go bliskim omdlenia.

— Tymczasem, najdroższa — mówił uśmiechając się — ja osobiście wolę kropkę dobrej francuskiej wódki! Jest tu w tym brzydkim chałacie flaszcza! Niechże ich! Zupełnie ruszyć się nie mogę.

Wypił trochę i zmusił Małgorzatę, by także kilka kropli przełknęła.

— No! Zaraz mi lepiej! A co, kobiecino? — westchnął z zadowoleniem. — Hej! Sir Percy Blackency Bast śledzony przez własną żonę, — to dopiero historia!... Ale, ale! — dodał, gładząc się po twarzy — nieogolony jestem od dwudziestu czterech godzin, muszę być wstrętnym... Bo co do pejsów...

Zrzucił perukę i wyciągnął z rozkoszą swe długie ręce i nogi, zmęczone kuleniem się i kurczeniem, za pomocą czego starał się ukryć swój wzrost. Potem pochylił się i popatrzył długo i ciekawie w niebieskie oczy swej żony.

— Percy! — szepnęła, rumieniąc się gwałtownie. — Gdybyś ty wiedział...

— Ja wiem, droga moja... wszystko... — odrzekł łagodnie.

— I możesz mi przebaczyć?

— Nie mam ci nic do przebaczenia... Czyż zasługiwałem na tyle poświęcenia, bohaterstwa z twojej strony. Zinazałaś tym zupełnie ów nieszczęśliwy epizod balowy.

— Więc wiedziałeś i o tym... — zapytała cichutko — przez cały ten czas...

— Wiedziałem... — odrzekł serdecznie. — Gdybym był znał lepiej twoje szlachetne serce, moja Margot, byłbym ci zaufał, jak na to zasługiwałaś i oszczędził obojgu tyle przejść i cierpień, doznanych w tej wyprawie. Właściwie to ja o przebaczenie twoje powinienem prosić.

Siedzieli przy sobie oparci o skałę, on złożył obolałą swą głowę na jej ramieniu, Teraz zasługiwała na miano najszcześliwszej kobiety na świecie.



— Teraz ponesie ślepy kulawego! — mówił, śmiejąc się.  
— Nie wiem, co więcej jest obolałe; moje plecy, czy twoje nóżki?

Pochylił się, żeby ucałować różowe, z podartych pończoch wyglądające jej paluszki.

— A Armand?! — zawołała przerażona.

W swym szczęściu zapomniała o drogim bracie, mimowolnym sprawcy tylu zakłóceń.

— Oh! O tego możesz być spokojną, ukochana! — odrzekł serdecznie. — Czyż nie dałem ci słowa, że go wyratuję? Jest już na pokładzie „Snu“, a z nim Tournay i tamci.

— Ale jakim cudem? Nie rozumiem...

— To bardzo proste, najdroższa. — tłumaczył, śmiejąc się. — Kiedy dostrzegłem, że to bydlę Chauvelin uczepił się mnie jak kleszcz, postanowiłem zamiast umykać przed nim, trzymać się jego. Do Armanda i reszty musiałem się dostać koniecznie, a tu wszędzie strażę i patrole czyhają tylko na twego pokornego sługę. Gdy wymknąłem się z oberży „Chat Gris“, wiedziałem że tu na mnie czekać będzie. Wolałem więc mieć go ciągle na oczach i wiedzieć, co robi.

Pomysł był nadzwyczajny. Małgorzata nie mogła powstrzymać się od okrzyków podziwu, gdy w dalszym ciągu opowiedział jej, jak udało mu się porozumieć ze zbiegami tuż pod nosem Chauvelina.

— Przebrany za żyda — mówił wesoło — byłem nie do poznania. Tego Reubena Goldsteina spotkałem w Calais nad wieczorem. Za parę dukatów dostarczył mi swego ubrania, pożyczyl wózek i konia a sam obiecał ukryć się tak, że go nikt nie odnajdzie przez dłuższy czas.

— Gdyby cię Chauvelin był poznał... — szeptała wzruszona. — Przebranie było dobre, ale on taki bystry...

— Cóż robić! — odpowiedział spokojnie. — Wtedy partia byłaby przegrana. Mogłem tylko ryzykować. Znam jednak dobrze naturę ludzką — mówił dalej — wiem, że Francuzi po-

gardzają Żydami. Pogardzają nimi do tego stopnia, że na kilka kroków zbliżyć się do siebie nie pozwolą. Uczyniłem też, co mogłem, by wyglądać wstrętnie i zasługiwać na pogardę ze strony Chauvelina.

— Tak! A cóż dalej? — pytała ciekawie.

— Z początku chciałem zdać wszystko na łaskę losu, ale gdy usłyszałem rozkazy Chauvelina, pomyślałem, że los mi dopomaga. Znałem bezmyślne posłuszeństwo żołnierzy z doświadczenia. Pod karą śmierci nie mieli się ruszyć z zasadzki, póki nie nadejdzie wysoki Anglik. Żołnierze rzucili mnie tuż koło budy i nie troszczyli się wcale o nędznego żyda, woźnicę. Miałem ręce dość swobodne, a że noszę zawsze przy sobie papier i ołówek, nabazgrałem słów kilka i szukałem sposobu, żeby doręczyć je tym w chacie. Dostrzegłszy szpary między tarcicami, podpełznąłem i włożyłem papier. Czekałem chwilę. Żołnierze stali bez ruchu i mojego manewru nie dostrzegli. Na kartce zaś kazałem im wymknąć się jednemu po drugim, kierować na lewo, spuszczać ku przystani, a na dole dać znak umówiony. Łódź czekała tam w ukryciu, na znak ich podpłynęła i tak dostali się na yacht. Na szczęście wiernie wykonali rozkaz. Żołnierze widzieli ich wyjście, patrzyli jednak spokojnie, nie poruszyli się w zasadzce, bo było im to wzbronione pod karą śmierci... Poczekalem jeszcze pół godziny, a gdy już byłem pewny, że są bezpieczni, zaśpiewałem, ażeby zaniepokoić trochę Chauvelina i jego ludzi.

Plan był genialny, ale też śmiałość i szczęście pomogły mu.

— Ale oni bili cię? Naprawdę bili! — mówiła Małgorzata, przerażona myślą podobnej zniewagi.

— Cóż było robić? — mówił łagodnie. — Usłyszałem twój krzyk i zrozumiałem, że tu jesteś. Nie mogłem cię porzucić, chciałem pozostać przy tobie. Jeszcze żyję — dodał wesoło — i Chauvelina spotkam niezawodnie, a w Anglii obiecuję mu mój dług oddać z procentem.

Małgorzacie powróciła wesołość. Patrzyła na figlarnie mrugające na nią niebieskie oczy i na silnie rozrośnięte ra-



miona, które obiecywały dotrzymać danego słowa i udzielić zapowiedzianej odpłaty. Nagle drgnęła przerażona, rumieniec radości zniknął z jej twarzy. Jakiś kamień potoczył się tuż obok nich ze skały i nad ich kryjówką rozległy się silne męskie kroki od strony skał.

— Co to? — pytała z niepokojem.

— Oh! To nic... — uspakajał ją. — To drobnostka, o której zapomniałaś... To mój przyjaciel Tfoulkes! — dodał żartobliwie.

— Sir Andrew? — zawołała przerażona.

Uczuła srogi wyrzut sumienia na myśl, że mogła zapomnieć o wiernym, oddanym jej towarzysz.

— Aj! — aj! Zapomniałaś, prawda najdroższa? — mówił sir Percy złośliwie. — Na szczęście spotkałem go w Calais po tej zajmującej kolacji z Chauvelinem. Wskazałem mu drogę, bardzo daleką, o której Chauvelin nie nie nie wie. Okrążył nas daleko, ale przyszedł w samą porę, kiedy i my już jesteśmy gotowi do drogi. Cóż, dobrze się złożyło? Jak się to pani podoba?

— I posłuchał? — zapytała zdziwiona Małgorzata.

— Bez słowa i targu. Patrz, teraz jest jak na zawołanie, a pierwszej byłby mi przeszkadzał. Już to mała Zuzanna będzie miała z niego dzielnego męża.

Tymczasem sir Andrew spuszczał się powoli ostrożnie ze skał. Zatrzymał się parę razy, nadsłuchując, widocznie szept ich zwrócił jego uwagę. Czekał, czy ktoś nie wskaże mu szeptem kryjówki Blackeney'a.

— Blackeney! — zawołał w końcu półgłosem. — Czy jesteś tutaj?

Wkrótce okrążył głaz, pod którym siedzieli. Spostrzegłszy dziwną jakąś postać w żydowskiim chałacie, stanął zdziwiony i oszołomiony.

Ale Blackeney już wstał o własnej sile.

— Tu jestem, przyjacielu! — odezwał się swoim zwykłym,



idioficznie rozbawionym głosem. — Wszyscy żyjemy, tylko ja wyglądam jak straszdyło w tych szmatach.

— Co? — Krzyknął Sir Andrew, poznając dowódcę. — Do wszystkich...

Spostrzegł Małgorzatę i powstrzymał zakłęcie, które na widok Blackeney'a wyrwało mu się na usta.

— Tak! tak, do wszystkich hm... — potwierdził Percy spokojnie. — Ale co ty tu robisz we Francji, mój przyjacielu, skoro kazałem ci pozostać w Londynie? Brak subordynacji? Co? Czekaj! Niech mnie plecy przestaną boleć, wtedy będzie kara, zobaczysz!

— Zniosę to! — odrzekł sir Andrew z miłym uśmiechem. — Jeśliś tylko cały i żyjesz, to już karz, jak chcesz. Miałem puszczać lady Blackeney samą do Francji? Ale skąd ty wydobyleś to dziwne przebranie, człowieku?

— Prawda! Trochę za mało wytworne! — mówił sir Percy wesoło. — Ale teraz, skoro i ty tu jesteś — dodał przybierając ton głosu dowódcy — nie mamy czasu do stracenia, bo ta bestia Chauvelin gotów się rozmyślić i przysłać nam tu eskortę.

Małgorzata w swej radości byłaby tu pozostała jak najdłużej, wzmianka jednak o Chauvelinie postawiła ją w jednej chwili na nogi.

— Ale jak my powrócimy? — pytała. — Drogi pełne żołnierzy...

— Pójdziemy, ukochana, ale nie do Calais. — odpowiedział. — Pójdziemy w przeciwną stronę, stąd o pół milki, tam czeka na nas łódź z naszego „Snu“. — tu uśmiechnął się tajemniczo. — Tak, jeszcze jednak udana sztuczka!

— Ja i tak nie pojmuję, — mówiła Małgorzata — jak potrafiłeś oddalić stąd Chauvelina.

— Zapomniałem ci powiedzieć, że dając im polecenie, jak postąpić mają, wsunąłem jeszcze drugą kartkę z poleceniami wręcz przeciwnymi, kazałem im tę drugą kartkę porzucić w chacie niby przez nieuwagę... Armand przysłał nam tutaj

łódź, do małej żałoczki o której tylko ja i on wiemy. Chauvelin tymczasem czatować na nas będzie w przystani w Chat-gris naprzeciw Calais, jak wyczytał w porzuconej kartce. Będziemy już na pełnym morzu, a oni nas wciąż jeszcze będą wyglądać w Chat-gris. Idźmy do łodzi!

— Ależ... ja nie dojdę, Percy! — jęknęła Małgorzata, próbując przejść kilka kroków.

— Poniosę cię, najdroższa! — rzekł serdecznie. — Wszak wiesz... niósł ślepy kulawego...

Sir Andrew zaofiarował swoją pomoc, ale Percy nie chciał nikomu powierzyć swej ukochanej.

— Jak będę na pokładzie i będę pewny, że mnie twoja Zuzanna powita bez wyrzutu, wtedy będzie pora na odpoczynek.

Otoczył ją silnym ramieniem i uniósł jak piórko w powietrze. Zapomniał o bólu i zmęczeniu.

Sir Andrew szedł za nimi, trzymając się dyskretnie z daleka, a Percy mówił, szeptał jej raczej słów wiele, których nikt nie słyszał, nawet wietrzyk jesienny pochwycić ich nie mógł, gdyż wiać przestał i cisza zalała świat, wypełniający się już jasnym światłem poranku. Małgorzata słuchała męża, jak w śnie rozkosznym, ale odpowiadała też szeptem, a słowa jej musiały być gorące, serdeczne, gdyż twarz Percy'ego rozjaśniała się, oczy nabierały blasku i stąpał śmiało i pewnie, unosząc swój skarb z pośród skał.

Różnobarwnym światłem świeciła toń morza a na nim, jak zamówiona, kołysała się zbawcza łódź. Na dany znak dwóch silnych marynarzy wyskoczyło na ląd, by znieść pospiesznie do łodzi swą panią. Załoga, duszą całą oddana swemu panu, nie dziwiła się ani przebraniu jego ani obecności pani; zdaje się, że wszyscy oni domyślali się celu tych częstych wycieczek do Francji i dumni byli, że służą bohaterowi.

Pozostawiwszy żonę w objęciach brata, sir Percy znikł z pokładu. Kabina jego widocznie dobrze zaopatrzoną była w garderobę, bo zanim przybyli do Dowru ukazał się piękny, dystyngowany w jednym ze swych wspaniałych strojów.



Trudniej jednak było zaopatrzyć w poirzebne suknie Małgorzatę, jednakże i temu jakoś zaradzono, a trzewiki ofiarował jej chłopiec okrętowy, nad wyraz dumny z tego zaszczytu.

I zapanował spokój! Spokój po wielu przejściach i cierpieniach, które poprzedziły wielkie i długotrwałe szczęście.

---

W zapiskach tego czasu jest wzmianka o wspaniałym weselu pana Andrewa Tfoulkes Bast z panną Zuzanną Tournay de la Basserive przy udziale jego królewskiej wysokości księcia Walii i elity towarzystwa londyńskiego, na którym to weselu, zaznaczono wyraźnie, najpiękniejszą była lady Małgorzata Blackeney. Mąż jej zaś, sir Percy, miał strój wspaniały, o którym długo mówiono z zazdrością i podziwem.

Jest też stwierdzonym faktem, że Chauvelin, pełnomocny agent rządu republiki francuskiej nie był na tym zebraniu i że go w salonach Londynu w ogóle nie widywano już nigdy od czasu pamiętnego balu u Lorda Grenville

**K O N I E C.**





